

Wiadomości Polskie

THE POLISH NEWS WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

ROK II - NR. 33 (75) - LONDYN NIEDZIELA 17 SIERPNI 1941

REDAKCJA 229 231, HIGH HOLBORN, LONDON, W.C.1

ADMINISTRACJA 9, NEW OXFORD ST., LONDON, W.C.1

PRENUMERATA kwartalnie w Anglii 6s. 6d. w innych krajach \$1.50

Prosimy o przekazywanie należności za prenumeratę czekiem lub „Postal Order” na zlecenie: M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

BOLESŁAW POMIAN

„COME ON, GEORGE, GO ON!”

Dymią papierosy i fajki, stukają kule bilardowe, podzwaniają ciężkie srebrne kufle. Ożywny gwar P.R. „party”...

ujrzał małego pętkę w granatowym mundurku, zabiło serce George'a. Poznał w szubaku 11-letniego Jurka. Jurek stał przed wielką mapą Europy...

sem wszystko się ułożyło. George poduczył się języka, a gdy ktoś kiedyś nazwał go krótko i jasno Georgem, uprosiło to znacznie sprawę...

hasła „WRÓCIMY”. Bo i jak? Czyż ma wrócić w tryumfie ta cała swolocz z zaleszczyckiej szosy? Mają wrócić w glosy bohaterów ci wszyscy, co teraz tyja, opalają się, walczą o kariery i „cierpią”...

dnie”. Nikt tak jak on nie był wybrany losom do napisania książki, książki, która była trąsaniem pięścią w stół, zrzucaaniem słów prawdy...

szczękał łomot długiej serji oddanej przez „air-gunner’a. Blenheim runął w dół w zawrotną pice. George skoczył do karabinu. W lusterku ujrzał dwa Ju 88. Oba były poza jego polem ostrzału...

ALEKSANDER HERTZ

AMERYKANIN PATRZY NA WOJNĘ NIEMIECKO-SOWIECKĄ

Korespondencja własna „Wiadomości Polskich”

Nowy Jork, w lipcu 1941.

Amerikanin, czy może ścisłej — przeciętny nowojorczyk, taki, jakiego się zna z codziennych stałych kontaktów, zarczał na wybuch wojny niemiecko-sowieckiej...

Istota rzeczy jest w tem, że w Ameryce wogóle istnieje ogromne zainteresowanie dla Sowietów. Sowiety należą do tych niezliczonych punktów w pozaamerykańskiej rzeczywistości...

to samo! Bardzo sympatyczna młoda dama, nastrojona wyraźnie komunistycznie, udawała mi, że Roosevelt to też dyktator wcale nie lepszy od Hitlera...

w wojnie z Niemcami. Skoro taka potęga, jak Sowiet, walczy z Hitlerem, zbudna się staje pomoc amerykańska. I ten argument, nie są różnicami wysuwany argument antykomunistyczny...

Atak Hitlera był tu czymś najzupełniej nieoczekiwanym. I to, że był aż tak nieoczekiwanym, jeszcze bardziej wpłynęło na spotęgowanie wrażeń. Przecież jeszcze sobotnie pisma południowe unisono twierdziły, że koncentracje wojsk niemieckich na granicy sowieckiej...

ALEKSANDER HERTZ.

BOLESŁAW POMIAN.



KSAWERY PRUSZYŃSKI

1000 MİL OD PRAWDY

Plk. Roman UmiaŃkowski, znany niejednemu z warszawskiego radia, wydał broszurę „12 mil do Warszawy... 30 mil do Paryża...”, która ma być polemiką z moimi wywodami o wrześniu (nr. nr. 60 i 62 „Wiadomości Polskich”). Niestety, nie jest to dyskusja. Co do mnie bowiem, to w moich artykułach postawiłem jasno, wyraźnie tezy. Powiedziałem, że do wojny byliśmy nieprzygotowani, a nawet źle przygotowani polityką zagraniczną, polityką gospodarczą, a wreszcie polityką wojskową. Powiedziałem dalej, że czynnikami, które rozstrzygały o naszych sukcesach zagranicznych, o naszym życiu gospodarczym, ba — o wszystkim w Polsce, były czynniki wojskowe. Powiedziałem wreszcie, że niemal każde państwo europejskie miało swoją koncepcję obrony, że szło albo na motoryzację, albo na linię Maginot, albo na to i tamto; dodałem że Polska jedna nie miała ani motoryzacji, ani linii Maginot. Wreszcie powiedziałem, że nieszczerze wojska w Polsce było to że zajmowało się ono wszystkim. Tam dożyłoby dzieci, ówczesne budowało kościoły, jeszcze gdzieindziej nawracało na katolicyzm (Wolny) albo burzyło cerkwie (Chelmszczyzna). Były to rzeczy złe lub dobre, o to mniejsza, ale były to rzeczy które uważył za najważniejsze wojska odciągały ku innym zadaniom. Powiedziałem, że większość budżetu wojskowego nie szła na ożre, na zbrojenia, na czołgi, ale na wydatki osobowe i inne, nieraz co najmniej bardzo luźno związane z obroną kraju. Żaluję, że nie mogę zaopatrzyć mojego artykułu w zdjęcia oficerskich yacht-klubów, tego w Warszawie a zwłaszcza tego na jeziorach augustowskich, promieniującego całą krąsą reprezentacji, pełnego granitów, marmurów, kowanych żelaz — niczym luksusowe sanatorium zagraniczne. Powiedziałem, że w takich sprawach jak pobicie Nowaczyńskiego, jak dziesiątek innych spraw tego typu, honor oficerski, — ten sam o którym niezbyt katolicko powiada plk. UmiaŃkowski iż jest „Bogiem Wojaka”, — „wyniwał”. Bardzo żaluję, że plk. UmiaŃkowski nie zajął się tem moim ostrem wyrażeniem o jego Bogu i że nie objął nas czy armia polska zyskała na tem że pisarza tej miary co Nowaczyński jacyś niedoinformowani zbrodniarze katowali w gliniankach, czy też że to jednak nie przysporzyło chwały mundurowi polskiemu? O tem jednak, jak i o wielu innych rzeczach, bardzo wyraźnych w moich wywodach, wolał przeczekać plk. UmiaŃkowski nie rozpoczynał dyskusji. Znaczenie wygodniej było odbić od tematu ile tylko i gdzie się tylko dało. A przy iście zaleszczyckich zdolnościach odbiegł, jakie ujawnia plk. UmiaŃkowski, udało mu się to znakomicie. Piszę o tem jak pięknie wypadło święto pułkowe w jego okolicy; i jaki to on piękny film nakręcił o wojnie w Hiszpanii; i o tem że p. Krzysztof Nienaski nieładnie pisze o Mościckim; i o tem że on sam ofiarował z kolegami kilkudziesięć funtów na biedne dzieci angielskie; i o tem że powinienem pisać o poległych generałach i majorach; i o tem że sam pisał fantastyczne powieści; i o tem że był w Grecji; i o tem że Hitler wyznaczył nam miejsce na Uralu; i o tem żeby „patrzeć przed siebie”. Jest to, w rzeczy samej, **doskonale pokaz** jak wymigać się od odpowiedzi, jak przeprowadzać jedynie częściowe natarcia, jak mówić o czem innym, a wreszcie ująć wszystko szeregiem tak pełnych treści hasel, jak „wszyscy do zagli i dział”, jak „milczenie ludzkie słabi”, jak „z tem za burtę”. Podziwiać należy w tem wszystkim obrzydliwą pewnością siebie plk. UmiaŃkowski, że nikt jego samego za burtę kiedyś nie wyrzuci.

A jednak to wszystko co plk. UmiaŃkowski napisał i wykrzykniki tak sownie opatrzył, nie na wiele się przyszydło. To wszystko to zmienię w niczem tej jednej wielkiej i prostej prawdy, że Polska od szeregu lat rzadziła wojskowi, że wojskowi byli na najważniejszych, najbardziej decydujących stanowiskach w państwie. Oni siedzieli w dyplomacji z plk. Beckiem, i z dziesiątkami kapitanów Drymmerów, Ryszanków, Zarychtów i in.; oni siedzieli w przemyśle zbrojeniowym, w C.O.P. i, w przemyśle łódzkim i śląskim, w radach nadzorczych, w kontrolach; oni jowiali z cywilem Kwiatkowskim. To wojskowi ze Sławojem-Skladkowskim siedzieli w prezydium rady ministrów i w ministerstwie spraw wewnętrznych, to oni, z plk. Kostkiem-Biernackim, plk.

¹⁾ Roman UmiaŃkowski. 12 mil do Warszawy... 30 mil do Paryża. Edynburg, 1941; str. 47 i 101.

Bociańskim, mjr. Świtalskim, plk. Beliną-Praszkowskim, plk. Kirtiklisem i dziesiątkami, setkami innych, siedzieli na stołach wojewódzkich, starościńskich, na tysiącach cywilnych posad, stanowisk, urzędów, nieraz tworzonych specjalnie dla nich. To wojskowi kierowali stałe zyciem gospodarczym Polski, z gen. Zarzyckim i mjr. Rajchmanem, z gen. Góreckim i mjr. Gruberem i plk. Kocem i gen. Maciszewskim, i setkami pomniejszych, sprawowali kontrolę państwa — ładnie też ona wyglądała, ta kontrola! — poprzez gen. Krzezińskiego, to oni zatwierdzali sprawy motoryzacji, a zatwierdził ją w sposób który czynił z Polski kraj bez samochodów, co wytykała cała prasa polska z jednym wyjątkiem — „Polski Zbrojny” organu wojskowego. Oni zajmowali stanowiska, na które czekał w administracji wyszkolony uniwersytecko młody prawnik — **daremnie**, oni zajmowali w przemyśle dyrektorskie stanowiska, na które czekał wyszkolony technicznie młody inżynier — **daremnie**, oni zajmowali w dyplomacji stanowiska, na które czekał młody wykształcony prawnik — **daremnie**, oni przekształcali całą organizację państwa nie na sprawnie szał obsługi bogacysty państwa w najlepsze sily fachowe, ale w jakieś przytulisko dla tych których albo uważano w wojsku za słabych, albo którym ambicje polityczne kazaly szukać sobie szerszego poligonu do popisu. Z wyjątkiem Wenezueli, Costa-Riki, Kuby i Ekwadoru, oraz rej wiodącego tu Meksyku, żadne państwo na świecie nie posiadało takiego systemu rządzenia. Ale też żadne nie zapłaciło za to tak srogo. Mimo wszystkich wyzysk i odbiegów od tematu, tego faktu plk. UmiaŃkowski nie zatrze w opinii polskiego czytelnika. Rządził Polską wojskowi. I mimo wszelkich wywodów swoich nie wytłumaczy rozumnemu czytelnikowi, że rządząli oni dobrze. Tak samo jak nie wytłumaczy już nikomu, że za swoje rządy nie są odpowiedzialni.

Chaotycznie broszury tego klasycznego pułkownika, który podczas wojny nie dowodził pułkiem ale przemawiał przez radio, a w czasie pokoju także nie dowodził pułkiem, czy też dowodził nim na marginesie tak wojskowych zajęć, jak nakreślenie filmów lub pisanie powieści, nie pozwala mi, niestety, ułożyć mej odpowiedzi w pewien metodyczny wykład. Chaotyczność ta jest zresztą tak doskonałym sposobem mącenia wody, że samby w nią wpaść, gdybym miał isć punkt po punkcie za myślą plk. UmiaŃkowskiego. Ograniczyłem się więc w polemice do podzielenia całego jego bagażu na kilka odrębnych kategorii:

- 1) gdy plk. UmiaŃkowski totalnie mija się z prawdą;
- 2) gdy plk. UmiaŃkowski jedynie ją wywina;
- 3) kiedy wysuwa materiał do dyskusji.

Oczywiście, musiałem tu pominąć przebogaty materiał, kiedy plk. UmiaŃkowski insynuuje, bawi się w personalia, poucza, monituje, napomina, czyniąc z takimi namaszczaniem jakby sam był ojcem ojczyzny, chodzącym w sławie swoich krystalicznych zasług, a ja krapnąbrym zakiem. Studja nad tem należałoby poruczyć naukowemu badaczom tupetu; i gdyby tupetem dało się zastąpić surowce, uzbrowienie czy talenty strategiczne, to niewątpliwie ten rodzaj uzdolnień plk. UmiaŃkowskiego przechyliliby szalę zwycięstwa już dawno na naszą stronę. Niestety, jest to wprawdzie towar który poplał w Polsce, ale który spadł w cenie od dn. 1 września 1939 r.

GDY PLK. UMIĄŃKOWSKI MIJA SIĘ Z PRAWDĄ

A mija się z prawdą plk. UmiaŃkowski nie raz jeden, nie na jednej stronie, i nie jeden raz na jednej stronie, mija się z prawdą wytrwale, systematycznie, uporczywie, z taką kawalerijską fantazją, z taką magnacką rozrzućnością, z taką zawodową brawurą, z takim nieuleczalnym nalożem, że nam, „ludziom prostym”, nie sposób nieraz podążyć za tym potokiem nieprawdy, świadomej, radosnej, bohaterkiej, za tą Niagarą, za tą Solą i Porąbką, za temi wodospadami fałsu. Mija się z

²⁾ Nawet o tak malutkie, jak to „Wiadomości Polskie” nie chciały drukować jego artykułu przeciwko mnie. Redakcja żądała od niego tylko tego by swój artykuł podpisał nie pseudonimem, ale nazwiskiem, oraz aby usunął z niego osobiste polajanki. Plk. UmiaŃkowski zgodził się na to, wziął artykuł do przeróbki... potem go nie odesłał, a zato przystroił się w laur przesyłanej przez redakcję ofiary. Tak piękny laur, kosztem tak maleńkiego kłamstwa.

prawdą gdy chodzi o rzeczy zasadnicze i pochodne, gdy chodzi o wielkie, gdy chodzi o małe i gdy chodzi o całkiem malutkie²⁾. Więc mija się z prawdą gdy pisze, że wojna lat 1914—1918 polski przemysł był zniszczony dozna; wie dobrze że gros polskiego przemysłu, a niemal całość ciężkiego, znajdowała się na Górnym Śląsku, którego zakłady przemysłowe nie uległy żadnemu zniszczeniu; wie doskonale że z ziem polskich najbardziej zniszczone zostały nieuprzemysłowione ziemie wschodnie i słabo uprzemysłowane środkowe. Wie dobrze że mija się tu z prawdą, ale bez tego nie udowodniłby swojej tezy; może czytelnik polski nie zauważył, prześlepi? I mija się z prawdą gdy pisze, że zato przemysł rosyjski nie był wyniszczony; bo właśnie wojna domowa 1917—1921 zniszczyła co było przemysłu rosyjskiego i w zagłębiu donieckim, i wokół Moskwy, i w okręgu leningradzkim. I mija się z prawdą gdy pisze, że

ków w rodzaju gen. Arakcejew, gen. Pahlana, gen. Durnowo (nomen omen), gen. Wanowskiego, gen. Trepowa, gen. Suchomlinowa, gen. Kaulbarsa, gen. Skobielewa, nie mówiąc już o innych, choć, coppers, nie znam okresu w dziejach Rosji gdzieby tak o wszystkim rozstrzygali wojskowi, jak w Polsce ostatnich lat. To właśnie w krajach demokratycznych nawet ministrem spraw wojskowych bywa zazwyczaj cywil, i chyba w dorzeczu Amazonki lub nad zatoką meksykańską znalazłby plk. UmiaŃkowski swój szczególny typ „demokracji”. Mija się z prawdą plk. UmiaŃkowski gdy pisze, że ministrem spraw zagranicznych w Polsce był „oficer rezerwy”; minister Beck był **oficere służby czynnej, oficerem zawodowym**, który na wiele lat po zakończeniu wojny 1920 r. służył w wojsku, i jeszcze po przewrocie majowym był w wojsku przez lat kilka. Umiemy jeszcze rozróżnić pojście oficera rezerwy od oficera zawodowego.

Nowość!

Nowość!

Robert Vansittart

CZARNY REJESTR

Niemcy dawniej a dziś

Przedmowa—Czterysta milionów ludzkich szczęść—Niemcy w liczbie mnogiej—Bezczelna horda—Cechy stadowe występują i u jednostek—Honor i sława—Ueber alles—Wnioski

Przełożył Ryszard Brynicki

Cena 6d.

Do nabycia w księgarniach

M. I. KOLIN (Publishers) LTD., LONDON: 9, New Oxford Street, W.C.1.
PERTH: 28, King Edward Street. DUNDEE: 24a, Cowgate.

przemysł rosyjski rósł w latach 1914—1918, bo przemysł rosyjski powstał naprawdę po r. 1929, i dokonany został Stalina w czasie, kiedy u nas jeszcze się nie gwarzyło o C.O.P. i. I mija się z prawdą gdy pisze, że naczelny wódz armii greckiej opuścił swój kraj, podobnie jak u nas Smigły-Rydz, i że to samo uczynił naczelny wódz armii norweskiej, i inni naczelni wodzowie. Nieprawda, nieprawda, nieprawda. Wbrew twierdzeniu plk. UmiaŃkowskiemu jakoby obecni „królów-wodzowie” jak w średnio-wieczu (?) opuszczali swe armie i kraje, jest zupełnie inaczej. To nie tylko gen. Gamelin, były naczelny wódz francuski, pozostał w swym kraju i przeżywa w więzieniu, to nie tylko naczelny wódz armii holenderskiej poszedł do niewoli, choć mógł opuścić swój kraj i wojsko, to nie tylko „król-wódz” belgijski jest jeńcem wojennym, to także — wbrew słowom plk. UmiaŃkowskiemu — naczelny wódz armii greckiej, która tak długo i tak wspaniale walczyła, gen. Papagos, i naczelny wódz armii norweskiej, gen. Runge, znajdujący się w niewoli, bo kraju swego i żołnierzy nie opuścił, bo za prowadzenie kampanji czuli się odpowiedzialni. Wice-król wódz, ks. Aosta, także wolał niewolę. Przypomnę plk. UmiaŃkowskiemu że naczelni wodzowie trzech państw bałtyckich pozostali w swym kraju kiedy został on włączony do Rosji sowieckiej, choć wiedzieli że nazajutrz będą wywiezieni, a może i zgina. Jedynie naczelny wódz armii jogańskiejskiej, która walczyła tak niespodzianie krótko, opuścił swój kraj; był także premierem. Bo Jugosławia i Polska z tak niedawnych posiadają zdumiewające podobieństwa. Oba kraje dzielnego żołnierza; oba prowadziły grę z Niemcami niemal doostatka; w obu od szeregu lat rządząli, panoszyli się, robili i obalali rządy — wojskowi; w obu dzielny żołnierz okazał się nieprzygotowany do nowoczesnej walki. Tak. Ale wodzowie naczelni wszystkich innych państw nie postąpili jak Smigły-Rydz. Poszli do niewoli, na ich miejsce pomianowano nowych, walka trwa dalej.

Tak rozpoczęły się mianem się z prawdą, prowadzi je plk. UmiaŃkowski dalej i dalej. Mija się więc z prawdą, gdy pisze, że zastrzelony przez Gestapo gen. Schleicher bronił armii przed polityką; prawdą jest to, że gen. Schleicher był typowym politycznym generałem, że był dwukrotnie kanclerzem, t.j. premierem, w Niemczech; że on to wprowadził do władzy kliki wojskowe właśnie z zastrzelonym von Bredowem, Fritschem i plk. Hindenburgiem. Nieprawda jest także, jakoby Tuchaczewskij był apolitycznym wojskowym, albowiem ambicje polityczne tego młodego marszałka były znane powszechnie, widzieli w nim Bonapartego rewolucji rosyjskiej, a oskarżono o konspiracyj z Reichsheim. Nieprawdą jest dalej, że w innych armjach obsadzano stanowiska wyższych dowódców „według klucza partyjnego”, bo po pierwsze, nie było tak ani w Anglii ani we Francji, ani w Niemczech, ani w dziesiątku innych armij, a natomiast nie można tego powiedzieć, niestety, o Polsce, gdzie jednak po przewrocie **wojskowym** w r. 1926 szereg zdolnych generałów usunięto właśnie ze względów politycznych. Mija się z prawdą plk. UmiaŃkowski gdy żądanie by wojsko zajęło się wojskiem, a nie rządzeniem, uważa za „pogląd antydemokratyczny z okresu samodzierżawia”, bo właśnie żądanie by wojsko nie zajmowało się polityką jest kardynalną podstawą demokracji; przeciwnie, samodzierżawia, od rosyjskiego począwszy, apelowali do sotni kozackich, do szarż na młodzież, do ministrów-generałów i generałów-polity-

Mija się z prawdą plk. UmiaŃkowski gdy Winston Churchill przedstawia nam jako „mającego” majora, albowiem Winston Churchill, poza młodzieńczą i wojenną karierą wojskową, jaką w dawnej Anglii przechodził zwykłe pokróctwo synowie wybitnych rodzin, poświęcił się polityce, był pisarzem i autorem książek historycznych, posłem do parlamentu i dziennikarzem, i w jego życiu służba wojskowa odgrywała o ileż mniejszą rolę niż w życiu „oficera rezerwy” plk. Becka. I mija się z prawdą plk. UmiaŃkowski kiedy zapytuje, czy wskutek tego że wojskowi zajmowali u nas stanowiska cywilne zmniejszyła się możliwość pracy dla innych, w tej Polsce tak ubogiej w inteligencję? Coprawda, nie uznaję tego zwyczaju traktowania Polski jako koryta przy którym zmniejsza się czy nie zwiększa dla kogoś miejsce; ale mogę odpowiedzieć że istotnie, **zmniejszyła się** możliwość pracy, **że bezrobocie młodej inteligencji z autentycznymi dyplomami było w Polsce wprost ogromne**, a było zwiększone tem właśnie, że w całej rozciągłości byli wojskowi, choć coprawda, zgola nie żadni „podoficerowie”, jak nam to delikatnie przekreśla plk. UmiaŃkowski. Nie; nie jacyś biedni kaprale, sierżanci czy wachmistrze zajmowali to miejsce; i nie oni rządząli Polską; czynili to owo wojskowi wyższej zgola rangi, którzy władali i w ministerstwie oświecenia publicznego i w wyznaniach religijnych, i w izbie skarbowej, i w starostwach, i wszędzie. I mija się z prawdą plk. UmiaŃkowski gdy dowodzi że obsadzanie stanowisk cywilnych przez wojskowych jest „sprawą normalną w każdym państwie”, bo właśnie tak nie jest, i angielscy ministrowie, gubernatorzy, dyrektorzy banków czy dyplomaci nie są generalami, pułkownikami i oficerami zawodowymi. I mija się z prawdą gdy pisze zagadkowo o jakichś polskich planach wspólnego państwa polsko-czeskiego w r. 1933; bo takiego planu, niestety, historia nie zna, i zrodził on się w głowie plk. UmiaŃkowskiego, autora — jak pisze — fantastycznej powieści. Przeciwnie, dyplomacja polska owego okresu była z praską w jak najgorszych stosunkach. I mija się z prawdą gdy pisze że sily „blitzu” nikt nie przewidział, bo przewidywał go niejedyn autor wojskowy, z Lyddell Hartem i gen. de Gaulle, bo Niemcy obliczyli rozbiście Polski na trzy tygodnie (mowa Hitlera dn. 1 września 1939 r.), bo jej apokaliptyczny obraz zgadywali u nas trafnie młodzi harcerze, ale wymiślowali go zadufani sztabowcy. I mija się z prawdą gdy pisze, że nasza armia zaczęła inne ilości ludzi wykształconych, bo to także nie jest prawdą, bo to właśnie armia niemiecka miała wspaniały zapas wykształconych głęboko dowódców, znających i socjologię i ekonomję i prawo i geopolitykę i historję i technikę, podczas gdy u nas pemo było niedokończonych doktorów, handlowców, prawników, medyków, no a niestety także — niedokończonych wojskowych.

Natomiast w jednym zgadzam się z plk. UmiaŃkowskim. Nasi wojskowi istotnie nie znaleźli się na polityce. Nie znaleźli się zresztą także na skomplikowanych zagadnieniach narodowościowych, na trudnych zagadnieniach gospodarczych, na zawitych prawnych i nielawnych dyplomatycznych. To prawda, i póki taki oficer znalazł się w wojsku i siedział w nim, nie było to jeszcze nieszczerze. Wojsko jest tak rozległa, bogata, ciekawa i zmieniająca się dziedzina, że ono samo jest polem ogromnym, jeśli ktoś chce nad nim rzetelnie pracować. Nieszczerze następowało dopiero wtedy kiedy wojskowi, który nie znalazł się na sprawach narodowościowych, za-

czyniał je „amcic”, gdy wojskowi, który nie znalazł się na sprawach gospodarczych, zostawał dyrektorem banku, gdy porucznik obejmował konsulat, major stawał na czele firmy wydawniczej i gdy każdemu z nich się zdawało że pewność siebie zastąpi fachowe przygotowanie, a poparcie — zdolności.

A tak właśnie działo się w Polsce na każdym miejscu i o każdej, w ostatnich czasach, dobie.

GDY PLK. UMIĄŃKOWSKI JEDYŃIE KOLORYZUJE...

Z grubszej, pospolitszej serii kłamstw, oczyszciliśmy już krzykliwą broszurę tego polskiego Wellsa, domorosłego René Claira i rodzimego Queipa de Llano, tego powiesciopisarza, reżysera filmowego, speakera radjowego, no i — „w międzyczasie” — także i oficera. Było tego niemało! przyzna czytelnik. Ale obok nieprawdy stuprocentowej, obok solidnego, totalnego, stuprocentowego kłamstwa, jest jeszcze i półkłamstwo, ersatznieprawda, mniej szlachetny kruszec lgarstwa. Są to przeinaczenia i wypaczenia, przekreślenia i wszelkie kombinacje, a wszystkie ciekawe, dające należyte zrozumienie o niepospolitej zdolnościach koloryzacyjnych naszego autora. Trudno byłoby wymienić je wszystkie; wymienię najbardziej typowe.

I. „Przeczyta wówczas uważniej książkę Mackiewicz i dowiódł, że ten publicysta nigdy nie żądał formowania czterech dywizyj zmotoryzowanych”.

Istotnie, Mackiewicz w swojej książce nie wspomina żeby żądał kiedykolwiek czterech dywizyj zmotoryzowanych. Na cmentrze więc polega chwyt plk. UmiaŃkowskiego? Gdzie tu leży koloryzacja? Otóż plk. UmiaŃkowski wolał zapomnieć o tem, iż Mackiewicz żądał tych czterech dywizyj **jeszcze w Polsce**, jako publicysta „Słowa” — a nie na kartach swej londyńskiej „Historji Polski”. Istotnie, w książce wydanej w Londynie nie o tej starej rzeczy niema; natomiast kilka lat wcześniej, gdy stworzenie czterech dywizyj było w miarę możliwe, Mackiewicz w szeregu artykułów wolał i o te cztery dywizyj więcej, i o motoryzację.

II. Drugi przykład tej „polemicznej taktyki” naszego pułkownika: UmiaŃkowski pisze, że koszt produkcji średniego bombowca w Wielkiej Brytanji wynosi 6000 funtów. Nasz budżet — wedle jego obliczeń, — wynosił 100 milionów funtów. Czy więc było nas stać na bombowce?

Plk. UmiaŃkowski zgola nie przypadkowo wybrał sobie te **ciężkie brytyjskie funty**. Wie on doskonale, że może nigdzie na świecie robocizna nie jest tak **droga** — jak właśnie w Anglii. Ale wie on również doskonale, że może nigdzie na świecie robocizna, nawet fabryczna, nie była tak **tania** — jak właśnie w Polsce. I wie on przecież doskonale, że koszt produkcji w jednym kraju jest większy, a w innym mniejszy. Wie, wie świetnie; tylko, myśli, że czytelnik się nie spostrzeże na tej... **podwójnej buchalterji**.

Istotnie, wiele robiono w Polsce lat ostatnich aby czytelnika polskiego utrzymać w ciemności! Kto zaś robił, wiadomo. Ale ta praca, która jeszcze teraz ma swych zwolenników, udaje się coraz gorzej. A nadobitnie wyszedł właśnie pierwszy numer fachowego polskiego pisma „Mysł Lotnicza”. Jest tam długie i ciekawe obliczenie, z którego wynika że produkcja samolotu u nas w kraju powinna kosztować... **jedną czwartą tego co kosztuje zagranicą**.

III. Plk. UmiaŃkowski cytuję z zachwytem zdanie angielskiego dziennikarza o tem, że **żołnierze**, którzy dzisiaj uratowali życie Wielkiej Brytanji, mają po wojnie stworzyć — nową Wielką Brytanję. Porównywa to zdanie z mijsją tych, co u nas wyszli z legionów, no i z mijsją naszego wojska w przyszłości... **Cóż odpowiedzieć** na ten nowy objaw koloryzacyjny? Odpowiedź jest prosta. Każdy Anglik rozumie to zdanie swego dziennikarza tak, że po wojnie ci co walczyli będą przebudowywali swoją ojczyznę. Ale żaden Anglik nie sądzi, że dokona się to z zachowaniem hierarchji wojskowej, żaden Anglik nie widzi swojej ojczyzny z generalami na stanowiskach ministrów, z pułkownikami w randze dyrektorów departamentów, z majorami, z kapitanami. Przeciwnie. W pojęciu każdego Anglika wojskowi zawodowi wrócą do swoich zawodowych zajęć; obłężniw masa obywateli, którzy spełnili swój obowiązek, zajmnie się przebudową państwa. To tylko plk. UmiaŃkowski zręcznym wybiegiem robi z tego radosną

nowinę, że Anglja otrzyma po wojnie ten genialny ustrój, jaki miała Polska przed swą klęską...

IV. Ostatni przykład. „...w jednym z ostatnich numerów „Picture Post” (organ Labour Party) w nr. 6 z dn. 10.5.1941, przy artykule na temat „blitzu” umieszcili ten Wintringham kilka szkiców. Pokazuje na nich „zdumiewającą szybkość”, z jaką Niemcy szturmują Europę szi przez różne państwa. Zobaczyć jak jest sens tych szkiców, które zrozumiał każdy człowiek w Anglii. Oto nie innego, a jest to tylko chyba stwierdzenie faktu, że nasze wojsko **było najlepsze na świecie**”.

Jest to rozumowanie bardzo dowolne. Wintringham w swych artykułach po wrześniu 1939 r. wyraził zupełnie inne, a nawet krzywdzące nas zdanie o obronie Warszawy, zestawiając ją na niekorzyść z Madrytem; poco mu **wmawiać** że uważyła nasza armję za najlepszą w świecie? Dlaczego nie pamiętać, że do Polski wkroczyli Niemcy frontem paru tysięcy kilometrów, ogarniającym nas od Suwalk do Rymanowa, od Litwy i Węgier, podczas gdy do Belgji, Holandji i Francji szli wąską bramą, gdy przez Libję — nadbrzeżnym szlakiem, w Grecji — dolinami górskimi. Poco zapominać że w r. 1939 mieli dywizyj pancernych **mniej** niż w r. 1940, a **znacznie mniej** niż w r. 1941, że więc i z tej jeszcze racji musieli iść wojnie i ostrożniej? Poco... Poco wreszcie przypuszczać, że dzisiejszy czytelnik polski, który i sam niejednemu przemysłał, i gazety angielskie sam czyta, i mimo „black-out” u jeszcze nie zgulił umysłowo, nie złapie p. autora na tych niezbyt pomysłowych kruczkach?

Oto kilka przykładów; mogłoby ich być znacznie więcej. Nie skontrolowałyśmy **bardzo wielu cyfr**, wywodów i danych, które plk. UmiaŃkowski upstrzył swe wywody...

W czytelniku jednak musi obudzić się pytanie:

— jeśli **kilkanaście** razy zdołaliśmy udowodnić plk. UmiaŃkowskiemu że wprost mija się z prawdą, a kilka razy że ja bardzo dowolnie przekreśla — co pomyśleć o jego wiarygodności?

A to przecież jeszcze nie wszystko.

GDY PLK. UMIĄŃKOWSKI DYSKUTUJE...

Jest tego najmniej, nie godzi to w moje **zasadnicze** tezy, ale nie pominiemy i tego. Wskutek fałszywych poglądów państwa padają, wskutek właściwych podnoszą się z upadku; prostujmy fałszywe poglądy. Otóż gotowi jesteśmy nawet przyjąć wywody plk. UmiaŃkowskiego że dobrej broni nikt nie sprzedawał, tylko zła, i że dobrej broni, gdyśmy sami jej na czas nie wytworzyli, nie można było **jednak** kupić. Niestety, szereg państw na świecie broń sprzedawało, i szereg ją kupowało. Sprzedawał broń przemysł belgijski, czeski, amerykański, angielski; kupowała broń Grecja, kupowała ją Finlandja, kupowała ją Hiszpanja, która broniła się dwa lata. Mogłbyśmy zresztą przyjąć w pełni rozumowanie plk. UmiaŃkowskiego, że Polska nie miała u kogo i nie miała za co kupić broni — ale musiałbyśmy zapytać **co dla niego porusza tak kapitalnej kwestji jak tego, że Polska, która nie miała broni, broń sprzedawała?**

„Polska sprzedaje broń starą” — mówiono nam przez całe lata. Ale już w Hiszpanji w r. 1936 widzieliśmy polskie karabiny z datą 1929. Zatem produkcja polskiej, a nie „powojennej szmelc francuski”. Trochę mnie to zanępiekło, zwłaszcza że Hiszpanie chwaliły jakoś tej broni; przekonano mnie jednak, że przecież nasze wojsko wie co robi i że jeśli te karabiny sprzedaje, to ma na składowie wiele lepsze.

Tymczasem w r. 1939 **zabrakło Polsce i karabinów**. Brakło ich na Śląsku, gdzie Grażyński chciał zorganizować partyzantkę robotniczą i broni na to nie dostał; brakło ich na Pomorzu, gdzie Gdynię bronili wycięte w pień oddziały — **kosynierów**. Słyszcie rzecz kosynierzy, i literat polski mógłby opiewać ich męstwo. Ale są literaci polscy którzy uważają, że ich pióro jest nie tylko do opisywania **rozpaczy** męstwa a przesłaniania zbrodniczej niedbalności. Naród płacił podatki po to, by nie brakło karabinów; naród chce wiedzieć, dlaczego ich brakło.

A Polska sprzedawała nie tylko karabiny. Polska sprzedawała samoloty do państw bałkańskich, choć sama ich nie miała; sprzedawała zenitówki, doskonale dzieło polskiego inżyniera i robotnika, choć też ich nie miała dośyć, do Anglii, do Holandji i gdzieindziej; sprzedawała ich.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

WIDOK Z POCIĄGU NA POLA LINCOLNSHIRE

Pola zieleniące,
dąbrowy kędzierzawe,
rzeczulki, nagłym spadem
przecinające trawę,
i niebo, o dwa tony
zswiałe na odwieczny,
gązieniegdzie tylko rzuca
promienne ostrołmce.

Samopas para koni,
brodzące w łąkach stada —
drzemota przed spoczynkiem,
co właśnie już zapada,
i nawet ten samolot,
zmalaty w mgławiej głębi
w lot nie jastrzębi wcale,
lecz prawie w lot gołębki...

Na całym krajobrazie

są takie światłocienie...
dnia pogodnego schylek,
człowiecze ukonjenie.
Uśmiecha się ze stacji
dziewczyna, taka sama,
jak czarnaoka Mary,
„sweetheart” z miłostek Sama.

I tylko coś uparcie
trzępoce się u czoła
akermanskiemu słowu:
„Cicho” i „Nikt nie wola”.
I tylko w przedwieczornej
zalegającej ciszy
wiadomo, że się jeszcze
nie długo nie dosłyszysz...

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

JERZY FACZYŃSKI

SNY NIESPOKOJNE

Wiem, moja Miła, że do Ciebie wrócę...
tylko nie pytaj: kiedy? — bo nieprędko!
Chyba, że gwiazda błysznie bellejemską —
wtedy, Matenku.

Wierzę: tak będzie. Lecz kto mi dziś powie,
jaką do Ciebie pójdę jeszcze stęską
i kiedy Twoje ucałuję dłonie,
moja Matenku.

Lecz wróć, Miła, i to co marzyłem
w tęsknoty nasze wplotę meską ręką,
półozie niebo na oczyszczonej przyzbie,
moja Matenku.

A Tobie chałę zasadzę błękitną,
w ogródku kwiatów białą jabłonceczkę,
pod oknem malwy posieję czerwone,

da Bóg, Matenku.

I codziennie rano po jaskrach i rosie
przyjdę z Jadvinią zapukać w okienko,
niosąc dzień dobry utulony w dłoniach
Tobie, Matenku.

Z liści jarzębiny Jadvini zlotowłosa
wystrzyże dzionek i wstążką uśmiechu
zawiąże szczęście i rece nas trojga
na wieki wieków.

Lecz dzisiaj o tem z niepokojem w duszy
myślę. Najmilsza, Dobra, Nieszczęśliwa,
że gdy powrócę — już nie będę chłopcem,
Ty będziesz siewa.

JERZY FACZYŃSKI.

W początku września b. r. ukaże się w nowym wydaniu

SŁOWNIK

ANGIELSKO-POLSKI I POLSKO-ANGIELSKI

J. Stanisławskiego

Cena 10/6 (w opr.)

Ze względu na ograniczoną ilość egzemplarzy nowego nakładu prosimy o nadsyłanie zamówień wraz z należnością w terminie do dn. 20 sierpnia b. r.

MINERVA PUBLISHING CO., LTD.,

229-231, High Holborn, London, W.C.1

240 i dokonała tego tuż przed samą wojną. Sprzedawała działka przeciwpancerne, których także zabrakło; sprzedawała granaty; sprzedawała broń, sprzedawała broń, sprzedawała broń. Była ogarnięta radośną orgią sprzedawania. Broń polska wędrowała z Polski do innych krajów; broni tej miało w Polsce zabraknąć. Sztaby polskie nie mogły potem działać, bo nie miały osłony przeciwlotniczej żenitówek; miasta polskie padały w gruzy, bo brakło im choć po kilka tych dział; mobilizacja polska nie spełniła zadania, bo dworce, drogi, koleje, wszystko to było bezkarnie pod ogniem. Ba, dn. 4 września w Toruniu armia gen. Bortnowskiego wydobyla z wagonów, wysłane do Holandji, cztery działa przeciwlotnicze. Oto przykład jak do ostatniej chwili szedł nasz radosny handel bronią. Oto także ilustracja do tejże miłośnicy „świętego wywiadu” i wiedzialiszy „doskonale” o zamierzeniach sąsiadów; widocznie dlatego sprzedawaliśmy najcenniejszą broń tuż przed samą wojną...

Przez cały ciąg broszury plk. Umiaszowski słyszę, że Polska nie miała pieniędzy i dlatego nie stać ją było na żenitówki i czołgi. Niestety, Polskę stać było na tysiące luksusów reprezentacji; natomiast, większość naszego budżetu wojskowego nie szła na zbrojenia; natomiast, do naszego własnego Prezydenta zakupiliśmy jego genialny wynalazek „powietrza górskiego” za cztery miliony złotych; zrobiło to ministerstwo opieki społecznej, które nie miało na najbardziej prymitywne urządzenia higieny ludowej. Budowaliśmy kolejkę na Kasprowy; luksusy Juraty; wspaniałe gmachy banków państwowych i województw; ba, niektóre nasze czynności wojskowe żądały w r. 1939 od cywila w ministerstwie skarbu by stworzono premie na wywóz broni z Polski, jak były premje wywozowe na cukier czy węgiel. Ale może to jest nie prawda? Ale może jest to przesada? Może tego nie było? No i może o tem plk. Umiaszowski nie a nie nie wie? Tak, na pewne rzeczy u nas pieniądze były, ale na inne tych pieniędzy brakło. Pochota sowiecka wracała do Lwowa z karabinami na sznurkach, ku pogardzie naszych sztabowców; ale ku goryczy rozumnych ludzi wracała otoczona stłupami czołgami.

Kto rzucił państwem? Kto w szczególności rzucił obronę kraju? Czy przemysł wojenny nie był pod zarządem polska? Kto jest odpowiedzialny za to że Polska w przededniu wojny wyprzedzała się ze swego najlepszego uzbrojenia? Oto sprawy które plk. Umiaszowski woli pominać milczeniem.

Natomiast woli ująć się za człowiekiem, który posiadał najwięcej miaru w narodzie, najwięcej władzy w państwie, największy związek z armią — zamarszałkiem Smięgłym-Rydzem. I wywodzi: „Naczelny Wódz kampanji 1939 r. jest atakowany w artykułach Pruszyńskiego za swą działalność polityczną i wojskową. Jest on nadal żołnierzem w czynnej służbie i, jeżeli zawiął w swem działaniu politycznym, ocena tego należy do Sejmu i Rządu w wolnej Polsce, a narazie jedynymi instytucjami, które posiadają prawo autorytatywnej oceny — jest Rząd i Rada Narodowa. Jeżeli zaś zawiął jako żołnierz, to jedynym, mającym prawo do wydania opinii i oddania go sądowni wojskowemu — jest jego przełożony Minister Spraw Wojskowych”.

W tym „prawniczym” wywodzie plk. Umiaszowski myśli się bardzo a bardzo. Działalność naczelnego wodza nigdy i nigdzie nie jest przedmiotem zastrzeżonym kompetencyjnie; przeciwnie, omawia ją każdy obywatel, nawet w państwie niedemokratycznym. I działalność Smięgłego-Rydzia była omawiana w Polsce po klęsce, była omawiana na emigracji, a wszędzie była i jest potępiana. Inaczej nawet być nie może. To nie tylko publicysta ma prawo, a także i obywatel, pisać o tych ponurych sprawach; to każdy żołnierz który walczył, każda matka której syn poległ, każde dziecko które straciło ojca, każdy człowiek który stracił dom, cały naród który stracił ojczyznę, ma prawo o to pytać, to osądzać, mieć o to zale i gniewy. To nie jakieś zastrzeżone kolo osób, nie jakaś warstwa czy gorzej kasta, a tem mniej klika, ma prawo o tem mówić. Prawo to posiada cały naród, i walczyliśmy tu także i o to właśnie żeby tego prawa

mu na przyszłość, jak niedawno, nie odbierano, a przeciwnie, by mógł je sprawować, jak w wizji Wyspiańskiego, „wyrubnik i dziewczka bosa”. Oto właśnie jest demokracja, o której teraz nawet plk. Umiaszowski nam mówi! A tamto jest jakimś rodzajem neozłachetczyzny, ale bez zalet dawniej szlachty, jakimś potwornym samodzielnym niekiedy i wątpliwej elity, nad ogromną i świadomą masą.

Jeżeli się nie myle, plk. Umiaszowski ma na celu obronę marszałka Smięgłego-Rydzia. Nie wiem dlaczego porównywa go do „królów-wodzów średniowiecza”; widocznie nie rozumie, czym był średniowieczny król, pomazaniec Boży, właściciel państwa; widocznie nie rozumie, że nawet marszałek jest dziś tylko dowódcą wojska. Wysuwa on różne możliwości, jakie stały przed Smięgłym-Rydzem: mógł zginąć na polu walki; mógł dostać się do

IGNACY BALIŃSKI

RZECZ O LIMERYKACH

Wpadł mi w ręce maszynopis p. t. „Swawolne wierszyki, czyli polskie limeryki”, zawierający kilkanaście humorystycznych wierszy z życia naszego garnizonu w L., zabawnych wprawdzie, ale zupełnie niepodobnych do angielskich „limericks”.

Tytuł jednak świadczy, że niektórym naszym rodakom przybyłoby do Anglii nie jest obcy ten specyficzny a bardzo w tym kraju popularny rodzaj wierszowanego do-wcipkowania.

Z myślą o nich piszę ten artykuł. Limeryk — nazwa wzięta od miasta w Irlandji — jest to przedewszystkiem utwór wierszowany, ujęty, jak sonet i triolef, w ściśle reguły wersyfikacyjne, od których nie wolno odstępować. Każdy limeryk składa się tylko z jednej strofy o pięciu wierszach. Pierwszy, drugi i piąty wiersz rymują się z sobą (aabba), przyczem pierwszy, drugi i piąty muszą być o jedną do trzech sylab dłuższe od trzeciego i czwartego. Rymy, zwłaszcza w ostatnich wierszu, powinny być możliwie dziwaczne, groteskowe i niespodziane.

Co do treści — każdy limeryk ma podawać jakieś zdarzenie, jakąś króciutką komieczną historię w miniaturze. Cel jego jedyny — rozbawienie. Nie znajdujemy w nim żadnego liryzmu ani refleksji, jak np. w meandrach, gnomach czy rymowanych epigramatach lub aforyzmach. Pod tym względem zbliża się może najbardziej do naszego skotopasków lub figlików sowidzialskich.

Pierwszy wiersz jest ekspozycja bohatera ze wskazaniem miejsca akcji przez wymienienie nazwy jakiegoś miasta, dobieranie odpowiednio dla ułatwienia rymowania. Trzy następne wiersze ukazują przebieg akcji, a piąty — jej epilog lub rezultat. Ten ostatni, piąty, wiersz jest najważniejszy w każdym limeryku, stanowi jego — że się tak wyrażę — „smak” i decyduje o udatności i wartości utworu.

Owe nakazane regulaminowo zwięzłość i porządek przeprowadzania pomysłu mają tę dobrą stronę, że wykluczają rozwlekłość i gadalność, które tak często psują humorystyczne wiersze, ale z drugiej strony ludzą autorów... iż samo ścisłe trzymanie się reguły nadaje cechy, śmieszności czy dowcipu byle jakiemu nonsensowi lub bzdurze. O wielu limerykach angielskich powiedziałbym, jak mawiał Płaskowski, redaktor „Kurjera Świątecznego”, przed pięćdziesięciu laty: „Darm temu angielski pens, kto w tem znajduje jakiś sens”.

Ze zbioru p. Langforda Reeda, zawierającego około czterystu limeryków, przytoczam narazie, jako wzór jeden z najdawniejszych, a tak podobno wzięty, że został przełożony na łacinę i w samym zbiorze zilustrowany rysunkiem tygrysa ze zmarszczoną paszczą i wzdętym brzuchem.

THE LADY AND THE TIGER

There was a young lady of Niger,
Who went for a ride on a tiger.
They returned from the ride
With the lady inside
And a smile on the face of the tiger.

Po łacinie:

Puella Nigrensium ridebat,
Quam tigris in tergo vehabat,
Eterna profecta
Interno revecta,
Sed risus cum tigre manebat.

niewoli. Doprawdy, czy nie rozumie, że każda z tych możliwości była dla tego nieszczęsnego człowieka lepszym wyjściem, że w każdej ocaliłby honor? W niewoli niemieckiej czy rosyjskiej jakżeby inaczej dziś wyglądał? Gdyby zginął na polu walki, ileżby mu naród wybaczył... Każde wyjście było lepsze od tego jakie obrał! Napoleon III szukał śmierci pod Sedanem; nawet Wilhelm II brał pod rozwagę takie właśnie wyjście. I nikt i nic nie wytlumaczy Polakom, że przekraczając granicę rumuńską w chwili gdy Polska walczyła, Smięgły-Rydz postąpił jak przystało. Nawet tak powściągliwy pisarz jak gen. Norwid-Neugebauer nie znajduje dla tego postępkowi ani jednego słowa obrony.

Najdziwniejsze, że jednocześnie plk. Umiaszowski parokrotnie atakuje przedstawicieli, a nawet... przedstawicieli literatury, które szukały schronienia zagranicą. Cóż odpowiedzieć na taki typ rozumowania, wedle którego powieściopisarka Marja Kuncewiczowa czy Stefanja Zahorska nie powinna była wyjechać z Kraju, ale zato marszałek Smięgły-Rydz, wódz armji która broniła jeszcze i stolicy, i morza, i znacznej części Kraju, miał wszelkie prawo swój kraj i żołnierzy porzucić? Czy świat waga za normalne, że pisarze krajów zagrożonych przez Hitlera opuścili te kraje, by swą twórczością na emigracji móc wolać o swej ojczyźnie; ba, ma się za zle wielu pisarzom francuskim, że pozostali w swym kraju, zamiast iść na wygnanie za armją de Gaulle'a; tylko w pewnych polskich mózgach bełta się cudaczny pogląd, że nawet kobietom nie wolno było wyjeżdżać, ale zato wódzom wolno było uciekać.

Otóż to są wszystkie systemy myślenia, świat pojęć, sposób rozumowania, z którym dla dobra Polski należy narzeczcie skończyć. Nie można uważać za coś

nadzwyczajnego, że na wojnie gineli „nawet” generalowie, bo to że giną na wojnie generalowie, to rzecz w normalnej armji — normalna. Jeśli czyje bohaterstwo zasługuje już na uwagę, to przede-wszystkiem bohaterstwo kobiet, dzieci, starców, tych którzy tego co wojskowi obowiązku nie mieli. Nie można potępiać pisarzy opuszczających kraj, w którym pierwszy padłby pastwą najeźdźcy, a jednocześnie bronić wodza który ten kraj w pełni wojny porzucił. Nie wolno powiadać, że o prowadzeniu wojny pisarz pisać nie może, a nawet „jak śmieć”, bo wokół nas codziennie setki pisarzy obcych pisać, krytykując, omawia i oświetla, nie narażając się przez to na polajanki i pogroźki. Nie można uważać za zrozumiałe żeby z grona „18 000 oficerów” wychodzili rządzący trzydziestopięcioletni państwa, bo dobre sto lat temu odrzucono zasadę by kilkumastomilijonowym wówczas narodem rządziło około miliona warstwy szlacheckiej, a jeśli tamto w w. XVIII dopiero zaczynało być anachronizmem, to to było nim w w. XX napewno. I nie plk. Umiaszowski będzie decydował kiedy nam wolno, a kiedy nie wolno, stosować słowa Żeromskiego, i nie plk. Umiaszowski będzie ustalał kto należy do „ludzi silnych”, a kto do „ludzi słabych”, komu „wolno” mówić, a komu wolno tylko... milczeć.

Niestety, podziśdziem jest u nas zbyt wielu amatorów aby imi milczeć! Niestety, podziśdziem demokracja nasza jest na gębę i na święto! Ale co do ludzi „silnych” i ludzi „słabych”, to pozwoili plk. Umiaszowski, że podziękujemy mu najserdeczniej że przypomina nam pewne rzeczy do słowem „silni” i z tego nazwiskiem nierozdzielnie i na zawsze związane.

SILNI, ZWARCI, GOTOWI..

Albowiem plk. Roman Umiaszowski nie

Książka dla naszych angielskich przyjaciół!

Nakładem wydawnictwa MINERVA PUBLISHING COMPANY ukazała się

THE LAND OF THE RAINBOW

POLAND AND HER PEOPLE

By Violet Mason

328 stron 12 ilustracji na oddzielnych planszach 3 mapy
kilkadziesiąt rysunków w tekście

Cena 7/6 (w opr.)

Do nabycia w księgarniach M. I. KOLIN (Publishers), LTD.: LONDON: 9, New Oxford St.; W.C.1, PERTH: 28, King Edward St.; DUNDEE: 24a, Cowgate

jest postacią nieznaną, choć nie jest jednym z tych dzielnych oficerów polskich co na czele swych pułków krwawili się w nierównej walce, pozbawieni samolotów których nie budowano wnosząc reprezentacyjne pałace, pozbawieni żenitówek które sprzedawano na tygodnie przed wojną, pozbawieni dział przeciwpancernych które wynalazł polski technik, ale których nie zakupił polski sztab, pozbawieni czasami nawet i karabinów. Nie. Nie należy do nich. Ale plk. Umiaszowski ma jednak swoje miejsce w dziejach Września.

Plk. Umiaszowski prowadził warszawskie radio.

To plk. Umiaszowski zapewniał nas po wielokroć, że w postaci Smięgłego-Rydzia „mamy wodza jakiego nie ma cała Europa”. Istotnie, nie miała. To plk. Umiaszowski siał przez radio nieopisane

zapowiedzi, wyjaśnienia, fikcje, nieprawdy, które obiegaly kraj i front. To on na konferencji prasowej drwił z Hitlera że walczy „po kapralsku”, walcę „jak kłonicą”. I wreszcie, to on wydal słynne nocne wezwanie do mieszkańców Warszawy, by opuścili miasto. To na jego wezwanie radiowo kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn a może i więcej, zdanych do noszenia broni, wyszło z miasta. Wpadli potem pod bolszewików, pozapychali sobą drogi, rozstrzelali ich Niemcy, zabrakło ich w Warszawie. Dzięki temu rozkazowi w warszawskich zakładach użyteczności publicznej zabrakło naraz pracowników gazowni, elektrowni, wodociągów, zabrakło policji, poczty. Dzięki temu rozkazowi nie było mężczyzn do gaszenia pożarów w Warszawie; dokonywały tego słabe, wynędzniałe z głodu kobiety, przeklinając tego kto był temu winien. Za późniejsze się z przepustki zwykły strzelec idzie do paki, i idzie słuszenie; jakąż odpowiedzialność poniosł plk. Umiaszowski za swój straszliwy rozkaz? Kto tu wola o prokuratora i gdzie tu jest sąd polowy? Trudno wyobrazić sobie robotę, którąby lepiej przysłużyła się armji niemieckiej. Toteż po tem dokonaniu plk. Umiaszowski należał do najbardziej znieawidzonych w Kraju postaci. Po takim wspaniałym dowodzie wojskowej bezmyślności możeby lepiej nie poucałz nikogo o zagadnieniach strategji, których pełną nieznaną osobę biście wykazał, i możeby lepiej nie chwalił się nam że służąc w wojsku nakręcał filmy, pisał powieści i wozował po Grecji, ani nie zapowiadał że w przyszłości w Polsce będziemy mieli rządy tej samej kasty, jakąśmy mieli przed wrześniem. Narod polski chce właśnie tego żeby pułkownicy nie kierowali radjem, ale pułkiem; żeby nie kręcili filmów, ale zajmowali się wyszkoleniem żołnierza; żeby nie sprzedawali broni, skoro jej dosyć nie mają; żeby nikogo za pieniądze państwowe nie dożywiali, ale żeby za pieniądze państwowe nie budowali i yacht-klubów; żeby swą religijność okazali mniejszą ilością rozwodów, a nie rozbioremianiem cudzych cerkwi. I żeby wreszcie przestali poucaż literatów co mają i jak mają pisać.

Nie; nie jest przypadkiem że obrońcą tego straszliwego stanu rzeczy jakiś panował w Polsce i z jakim trzeba będzie wziąć narzeczcie rozbrat, jest właśnie plk. Roman Umiaszowski. Nikt nie zawarł w sobie w tak chemicznym zgeszczeniu wszystkich cech tego typu wojskowego; ignorancja, nieprawda, chęć decydowania o wszystkim i o wszystkich, żądza władzy, niechęć do wolności, frazeologia, chaotyczność, kult niekompetencji, a wreszcie niesamowity tupet, zupełnie nierozumienie tego że po swej roli w Polsce mógłby przy najmniej milczeć, a nie żądać milczenia od innych. Zło, jakie było w Polsce, znalazło w Romanie Umiaszowskim najbardziej powołanego, najgodniejszego obrońcę”.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

OBOJĘTNY

„Niechże uważa pan dobrodziej,
Bo jakaś muszka po nim chodzi!” —
Raz zryła, grzeszna dama,
Ostrzegła hippopotama...
Hippopotam rzekł: „Nie nie szkodzi”.

PRZEPIS NIELADA

Był pustelnik nad Eufratem brodaty,
Co z traw pyszne przyrządzał salaty,
„Przepis — mawiał — mam nie od
wczora,
Bo od Nabuchodonozora,
Gdy, jak wół, pasł się tutaj, przed laty”.

POZYTECZNE ZAJĘCIA

Był raz starszek w Londonderry
Bez pracy mimo chęci szczerej,
Jął więc, siadłszy przy kominie,
Rachować wlosy na czuprynie,
Naliczył ich — siedemdziesiąt cztery.

SKANDAL

Na śniadaniu nudystów w zamku Urach
Zaszedł skandal niebywały w tych murach.
Goście, jak się należy,
Przybyli bez odzieży,
Ale podano kartofle — w mundurach!

DOBRY SŁUCH

Był krytyk muzyczny w Mombasie,
Co w dzwonekowej orkiestrze halasie,
Subtelnie raził dwa
Rozróżnił ryki lwa,
Dobry słuch i u nich zdarza się.

Naogół limeryki angielskie dotychczaszeza biegały tylko o rozbawienie i groteskowość. Są jowialne i trywialne. Dzwic się nawet można, że tak rzadko spotyka się w nich ironja i satyra. Jednakże ta forma wbyornie nadaje się do tego, a może nawet i do najważniejszego tomu. Niedawno, bo w „Daily Telegraph” z dn. 26 maja b.r., feljetonista, podpisujący się Peterborough, przytoczył limeryk, uchodzący za rzadki okaz limeryka serjo.

Są ludzie, co żyją ciszą owianą,
Nieznam nikomu i zapomniani.
Podobnież drzemają na wodzie
Bez stęru i wiosel lodzie,
Ukryte w zarosniętej przystani.

Być może, iż ta pięciowierszowa strofa o swoimtym układzie posiada jakiś pociągający urok.

Teraz przypomniałem sobie, że w fantazyjnym dramacie Deotymy „Wanda”, napisanym przez nią w latach 1864—1865 w Symbirsku, gdzie była z ojcem na wygnaniu, znajduje się w jednej ze scen, rozgrywających się w Tatrach, dialog, prowadzony temi strofami. Pierwszą, która mnie ujęła swym smętnym, fatalistycznym nastrojem, zapamiętałem:

Raz młody góralski szedł na wędrownanie,
Białe chleb jadł nie na jednym łanie.
Morza przepłynął,
Na Dunaju zginął,
Co ma się stać — nie odstawie.

IGNACY BALIŃSKI.

Truckett's Hall, w czerwcu 1941.

pisma, ogłaszające konkursy, żądały od uczestników nadsyłania 6-pensowego przekazu pocztowego i z otrzymanej w ten sposób kwoty po odciążeniu 5%, na koszt własne, resztę rozdzielali w postaci nagród, okazało się z rozpraw nad budżetem poety w Izbie Gmin dn. 17 lipca 1908 r., że liczba tych 6-pensowych przekazów, wynosząca dawniej od 700 000 do 800 000 półrocznie, podniosła się w półroczu sprawozdawczym, głównie dzięki tym konkursom, do 11 400 000. Aż trudno uwierzyć!

Z tej prawdziwej epidemji skorzystała reklama handlowa.

Różne firmy poczęły ogłaszać konkursy z nagrodami na limeryki w związku z ich wyrobami. Tu naczelne miejsce zajął p. Samuda, właściciel wielkiego interesu tytoniowego. Jesienią 1907 r. w celu reklamowania nowego gatunku papierosów ogłosił konkurs na najładniejszy wiersz, t.j. ostatni, wiersz z pointą, do czterech pierwszych, przez niego podanych, a zachęcających oczywiście do kupowania owych papierosów. Pierwszą nagrodę stanowiła im mniej ni więcej tylko renta dożywotnia po 3 funty tygodniowo (150 rocznie).

Warunek był tylko jeden: każdy stawający do konkursu musiał dołączyć specjalnie rozsyłany do dystrybucji kupon, świadczący o nabyciu przez niego tych właśnie papierosów przynajmniej za pół korony.

Szczęśliwcom został p. Rhodes z Cardiff, który w ten sposób otrzymał największe w dziejach świata wynagrodzenie za utwór literacki bo — jak obliczono — wynoszące przy skapitalizowaniu po 550 funtów za jeden wyraz.

W następnym roku p. Samuda ogłosił drugi podobny konkurs z nagrodą już po 2 funty dożywotniej renty tygodniowej, ale z dodatkami dożywotniej używalności willi z ogrodem i całkowitem umebelowaniem. Nie stracił on na tem, skoro raz jeszcze ogłosił konkurs z nagrodą 1000 funtów, płatnych odrazu.

Choćby o wielkiej wojnie moda na limeryki minęła, jednakże ten rodzaj humorystyki ma tu wciąż bardzo wielu zwolenników, skoro p. Reed w 4-em wydaniu swego zbioru zaznacza że do pierwszych wydań (z lat 1924, 1926 i 1930) rozeszło się kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy.

Nie pamiętam, czy w humorystyce polskiej spotkałem fraszki o śoisie limerykowej formie. Utkwił mi tylko w pamięci prawdziwie klasyczny limeryk, pióra — zdaje mi się — dr. Romana Jasieńskiego w kalendarzyku humorystycznym, wydanym bodaj w 1890 r. w kształcie składanego parawnika. Miałem go w swoich zbiorach w Warszawie, ale teraz już zapewne przepadł. Zapamiętałem ten wiersz w stylu ludowym, bo jeden z kolegów długo nas nim nudził.

Niosła Magda karafjół,
Wojtek ją w ogrodzie mijał.
Tak im się rze spłotył
Że karafjół zgwojł,
Potem się Wojtek od olamentów wywojł.

Jeśli pamiętam dobrze, kilku najmłodszych poetów przed obecną wojną próbowało pisać limeryki, m.in. ś.p. Świątopiek Karpiński, autor pięknego poematu o warszawie, oraz Janusz Minkiewicz.

Oto kilka przekładów limeryków z angielskiego:

NIEWPRAWNY STRZELEC

Raz młody strzelec w Maroko
Pocalował panienkę w oko.
Ona rzekła: „Kochanie,
Popraw swe celowanie,
Bo jeszcze trafiasz za wysoko”.

NIEŚMIALA OSA

Była pewna dama w Chicago,
Co chadzała po ogrodzie nago.
Raz jedna z os
Ugrzyła ją w nos,
Osy nie odznaczają się odwagą.

GWALTOWNY KONKURENT

Konkurent do panny w mieście Para
Raz tak mocno skłonił ją się stara,
By wyrzekła słowno „tak!”
Ze jej teku już był brak,
A sobie w marynarce zżamał trzy cygara.

KSIAŻNICA NARODOWA

ADAM MICKIEWICZ

TEOFIL LENARTOWICZ

GRAZYNA

BITWA RACLAWICKA

cena 6d. za tomik

do nabycia w księgarniach M. I. KOLIN (Publishers) LTD., LONDON: 9, New Oxford Street, W.C.1; PERTH: 28, King Street; DUNDEE: 24a, Cowgate.

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

ukazał się tom trzeci

cena 4/6 (opr.)

do nabycia w księgarniach:

M. I. KOLIN (Publishers), LTD.; LONDON: 9, New Oxford Street, W.C.1; PERTH: 28, King Edward Street; DUNDEE: 24a, Cowgate

TEZA „TIMES” A

„OCZYWIŚTA WSPÓLNOTA INTERESÓW, STWORZONA W EUROPIE WSCHODNIEJ NAJAZDĄ HITLERA NA ROSJĘ, może być rzutowana w przyszłość i da się zastosować do przyszłego układu stosunków w Europie. Europie wschodniej zasadniczo potrzebne jest kierownictwo, jeżeli ma się uniknąć rozprzężenia ubiegłych lat dwudziestu i jeżeli kraje słabsze nie mają być narazem raz jeszcze na katastrofę gospodarczą lub na brutalną napadę zbrojną. Kierownictwo na wschodzie Europy może przypaść tylko albo Rzeszy Niemieckiej albo Rosji. Ani Wielka Brytania ani Stany Zjednoczone nie mogą wywierać czy nawet próbować wywierać jakiegokolwiek dominującego wpływu i grać roli w tej strefie Europy. Byłoby rzeczą fatalną odnawiać politykę sprzymierzeńców z r. 1919, która stworzyła więzy porozumienia między Niemcami a Rosją, skupiając i łącząc te państwa przeciwko zachodniej Europie. Nie ulega wątpliwości, że zarówno strona brytyjska jak rosyjska — a można również dodać, że także i amerykańska — będą się domagały, żeby wpływy rosyjskie w Europie wschodniej nie zostały usunięte w cieniu przez wpływy niemieckie”.

Tego rodzaju tezę postawił w artykule p.t. „Peace and Power” w numerze z dn. 1 sierpnia b.r. wielki dziennik konserwatywny „Times”. Pismo to jest nie tylko — jak to powiedziano swojego czasu — organem prasy ale i instytucją: jest ono instytucją i w tym sensie, że wychowuje się tam rządząca klasa Anglii w pewnym typie myślenia, że przyzwyczajenie społeczeństwo angielskie — to społeczeństwo, „które zna i wazy” — do pewnego toru myśli: „Times” jest dla uważnego czytelnika nader pożytecznym drogowskazem na przyszłość, przeszcza w swoich artykułach wstępnych opinie, które szczerem wędrują w skład czynnej doktryny politycznej i politycznego działania.

Pamiętam doskonale, jak to akurat trzy lata temu „Times” usankcjonował oddanie Sudetów Rzeszy w artykule, który inspirowany był przez rząd Neville’a Chamberlaina a wyszedł — jak głosi wiść — spod pióra zaufanego doradcy zmarłego premiera Wielkiej Brytanii, Sir Horace Wilsona (dodajmy, że premier Chamberlain już na wiosnę r. 1938 na śniadaniu wydanym w Londynie dla prasy amerykańskiej w zaufaniu wspominał, że byłoby najlepiej gdyby Praga zrzekała się Sudetów). Pojawienie się artykułu „Times” w lecie 1938 r. wywołało żywe zaniepokojenie Pragi. Istotnie, było się czego obawiać. Artykuł ten stanowił sygnał, po którym przyszło Monachium.

Publicystyka angielska, która cechuje niezależność i odwagę myślenia, przynajmniej dzisiaj otwarcie, iż Monachium oddawało wschód Europy Rzeszy. Potwierdził to układ francusko-niemiecki z grudnia 1938 r., który stanowił eiche wyzroczenie się przez Francję całego systemu — a raczej szkatłków systemu — zbudowanego przed laty na wschodzie Europy.

ARTYKUŁ „TIMES” A ZAMIESZCZONY PRZED PARU TYGODNIAMI A MOWIĄCY O SPORACH TERYTORJALNYCH POLSKI z Rosją i o ważności porozumienia polsko-rosyjskiego, był niewątpliwie znamienny. Pozwolił sobie zwrócić na uwagę w rozbieżności p.t. „Od Krebsa do Crippsa” (w nr. 72 „Wiadomości Polskich”). Niebezpieczeństwa tezy, wysunętej przez „Times” a w tym artykule, były oczywiste dla uważnego czytelnika. Dzisiaj „Times” w wywodzie z dn. 1 sierpnia posuwa się o krok dalej. Propozycje mianowicie pewnego rodzaju Monachium a la russe.

Wielki organ konserwatywny stara się wysnuć wniosek z faktu, że Europa powojenna musi być zreorganizowana na innych, obszerniejszych zasadach. Polityka niemiecka ukula na to nazwę „Grossraum”: polityka angielska, rozumująca kategoriami gospodarczymi, widzi że porządek powojenny nie może być natomiast mechanicznym do „status quo”. Wprawdzie na zewnątrz stawia Anglia tezę powrotu do „status quo” i głosi przywrócenie wolności wszystkim państwom, które padły ofiarą agresji, lecz jest rzeczą jasną, że stanowisko to nie wyzeruje jeszcze sprawy.

Coraz głębiej zapada w świadomości angielskiej przekonanie, że nie może być powrotu do wybujałej samodzielnosci państw Europy przedwojennej, że kraje mniejsze muszą nawyknąć do myśli o pewnych ofiarach ze swojej suwerenności państwowej i że również na polu gospodarczym musi być wprowadzony niejaki ład i hierarchia. Narazie Anglia zbliża się do tych zagadnień od strony ekonomicznej, i jest rzeczą znamienną, iż najbliższa narada państw sprzymierzonych, jaka odbyła się w Londynie, poświęcona będzie omówieniu spraw gospodarczych w dobie powojennej. Anglia rozumie, że zagadnienie granic jest najbardziej drażliwym punktem wszelkich konferencji.

Podkreślam już tutaj, że Anglia ma słabość niejako do wielkich obszarów. Z tej to racji Rosja zawsze fascynowała Anglię: dzisiaj, gdy Rosja ukazuje w ogniu walki odpór i siłę, gdy dowodzi, że jej potencjał wojskowy, wsparty na potencjałe przemysłowym, jest nie tylko nie do pogardzenia, ale zastanawiająco silny — fascynacja Rosją musi rosnąć niejako automatycznie. Na to niema rady, jak i na zjawisko odwrotne: w razie porażki i klęsk sowieckich urzeczanie to będzie powoli ustępowało.

W danej jednak chwili Anglia patrzy na Sowiety jako na jedyną na wschodzie Europy mocarstwo, które wytrzymały próbę ognia: uderzenie niemieckie. Dotychczas tylko dwa państwa zwały w tym względzie egzamin: Anglia — jeżeli chodzi o powietrze i morze, Rosja — jeżeli chodzi o działania lądowe. Tego faktu nie zmienia: autor tych słów, który niejednokrotnie wyrażał się sceptycznie o sile rosyjskiego odporu, gotów jest przyznać się, że przekroczył on jego oczekiwania. Nie nie pomoże tu bronienie się, że grono zaszkoczonych jest spore — zarówno w Anglii jak w innych krajach. Wniosek moralny, jaki płynie z kampanji sowieckiej, jest oczywiście niezbyt pocieszający: jak ktoś słusznie urabia nienaganny żołnierz i stawia na nogi naprawdę potężne maszyny wojenne. Jancazarstwo totalne okazuje się weale skuteczne; powstaje na tem tle pytanie, czy Jancazarstwo brunatnego chowu będzie również twarde w oporze jak Jancazarstwo czerwone.

ANGLIA BYŁA ZAWSZE REALISTĄ, i wględy natury ideowej nie hamowały jej postępiek politycznych. Toteż dla każdego znanego Anglię było rzeczą oczywistą, że w razie potrzeby Anglia przysknie oczy na totalizm sowiecki i pójdzie na daleko idącą współpracę z Sowietami. Polityka angielska jest polityką doradczych skutków, realnych osiągnięć i złożeń; unika ona dalekiego dystansu, możaby powiedzieć, że cierpi na lek przesztreni.

Dlatego Rosja jest dzisiaj nie tylko

modna, ale wyrasta na nadzieję przyszłości. Anglia mówi: Rosja, nie kłopotacze się zbytnio, że Rosja obecna, Rosja sowiecka nie jest partnerem normalnego rodzaju. Przez tyle lat Anglia trzymała się zdala od Rosji: ci, którzy zarzucają nam, że Polska odgradzała się od Sowietów, zapominają często, że to Polska wystąpiła kiedyś z inicjatywą paktu o nieagresji z Sowietami, ale że Zachód długo nie kwapił się z nawiązaniem kontaktów z Moskwą. Traktowanie Moskwy przez Zachód w różnych okresach, przedewszystkiem zaś w dobie Monachium, napewno nie dowodziło gotowości współpracy Zachodu z Rosją.

Anglia przyjmuje oczy na oblicze komunistyczne Rosji. Nie zapomina o niem, ale narazie nie chce o tem myśleć. Dlatego godzi się na użycie w układzie z Rosją zwrotu o walce z „Rzeszą hitlerowską”, który to zwrot przeprowadza dyplomacja sowiecka nader logicznie przez wszystkie układy z innymi państwami. Na lamach „Sunday Times” a z dn. 4 sierpnia pojawił się list do redakcji, w którym pada zapytanie, dlaczego odstąpiono od normalnej formuły i przyjęto formułę sowiecką. Czy zrobiono ustępstwo dla stanowiska sowieckiego i co kryje ten zwrot? Odpowiedź wypadła prosto: Sowiety walczą istotnie z Rzeszą Hitlera. W wszystkich swoich wypowiedziach Moskwa podkreśla walkę z „faszysmem niemieckim”. Jest przecież rzeczą jasną, że Sowiety nie zamierzają walczyć z Rzeszą komunistyczną.

PRZYPUSZCZAĆ WOLNO, ŻE ANGLIA ZDAJE SOBIE SPRAWĘ z możliwości takiego połączenia, które byłoby najgorsze i najgroźniejsze dla przyszłości całej Europy. Trudno przypuszczać, aby Sowiety na wypadek zlamania wojskowego Rzeszy zatrzymały się na granicy tego czy innego państwa. Sowiety pójdą dalej, jak najdalej, ale wpatrzeć trzeba, czy zdolają opanować teren Europy, a co dopiero zorganizować Europę czerwoną. Do tego potrzebna jest centrali Moskwa — Filiale Berlin.

Nie wolno nam spuszczać z oka tej możliwości. Nie należy ludzi się, że cele rewolucyjne Sowietów powędrowały do lamusa. Jak słusznie podkreślono w artykule, które pojawiały się na lamach „Dziennika Żołnierza” i „Dziennika Polskiego” na temat kampanji w Rosji, wpływy bezpośrednie Kominternu na rząd sowiecki wzmocniły się. Rewolucyjna maszyna sowiecka jest w pełnym rozmarzu propagandowym. Polityka Moskwy okazuje wielką zrećność, przytomność i — powiedzmy wyraźnie — dużą szczerłość. W audycjach po angielsku Moskwa gra na przewanilizm, nutę tę podchwytuje „Prawda”. W audycjach na Polskę apeluje się do „narodu polskiego”, do uczuć „demokratycznych”, do wspólnoty doli ludu robotczego. Moskwa w nieczem się nie angażuje, w nieczem nie utrudnia sobie pozycji wypadkowej do dalszej akcji.

„Izwiestia” polemizują już z przemówieniem gen. Sikorskiego, który słusznie przyrównał akcję niemiecko-sowiecką z września 1939 r. do rozbiórów Polski w r. XVIII. „Izwiestia” twierdzą, że Rosjanie zajęli ziemie wschodnie dla zabezpieczenia pola przed atakiem niemieckim (ta teza sowiecka zyskuje teraz niewątpliwie na sile w politycznym myśleniu Anglii). „Izwiestia” starają się sugerować, że wojska sowieckie niosły w wrześniu 1939 r. hasła demokratyczne do reakcyjnej Polski, podczas gdy w dobie rozbiórów Rosja carska zębła przemocą odruch rewolucyjnej Polski, echa rewolucji francuskiej przeniesione na grunt 3 maja. „Izwiestia” powiadać dalej, że traktat ryski nie jest ważny w oczach Moskwy, że „granice wschodnie Polski nie są niezmienne i że Wielka Brytania nie udzieliła żadnych w tym względzie gwarancji”.

Strona polska wykazała maximum dobrej woli: pierwsza podała rękę Rosji, pierwsza zdecydowała się na krok „podyktowany nakazami chwili”, jak powiedział gen. Sikorski, czyli krok politycznego realizmu, który odsuwa na bok momenty uczuciowe, tak silnie grające w naturze Polaka. Rząd gen. Sikorskiego okazał najdalej idącą lojalność wobec sojusznika brytyjskiego, który ze zrozumiawych względów chciał za wszelką cenę zmontować jednolity front przeciwko Rzeszy.

Strona polska zaznaczyła parokrotnie że układ jest całkowicie zależny od dobrej woli kontrahenta i od czynów, jakie nastąpią obecnie. Sowiety odpowiadają już w pierwszych dniach korektami i polemikami.

MONACHJUM A LA RUSSE, JAKIEM CZĘSTOŚĆ NAS „TIMES”, jest wyścieniem, które musi budzić słuszne obawy państw wschodu Europy. Państwa te nie chciały się pogodzić z wnioskami Monachium brunatnego, nie widzą też konieczności przyjęcia fatalistycznego wniosku Monachium a la russe.

Czy istotnie niema innego wyjścia dla wschodu Europy niż oddanie go albo pod niemiecką albo pod rosyjską egidę? Przecież w ten właśnie sposób zbliża się oba te państwa, ich sfery wpływów będą się stykały. Jeżeli zetknięcie się Rosji sowieckiej z Rzeszą komunistyczną — wiemy już jaki będzie wynik. Ale nawet jeżeli zetknięcie się Rosja nowa, odbudowana z pożoży wojny, z Rzeszą powojenną — położenie nie będzie ani wygodne ani bezpieczne dla całej Europy.

Z tego to względu teza, że koniecznością jest powołanie do życia bloku państw od Bałtyku po morze Czarne i Adrytyk, związanego gospodarczo, liczącego 80 przeszło milionów mieszkańców (aby zrównoważyć parcie 70 milionów Niemców), jest dla bezpieczeństwa Europy pożądana. Blok taki nie tylko powinien ale musi współpracować z Rosją. Rosja nie może być wyłączona z gospodarczego obiegu świata.

Narody Europy wschodniej nie mogą uznać konieczności przesadzania z wojen, ten swój katalizm, z najlepszą wolą, z przedziwną łagodnością. Nie inaczej niż wogóle noszą życie i jego tak dla człowieka ciężkie chwile. Z wyjątkiem rzadkich chwil, zwykłe z chorośliwym stanem związanych, czuje się drapieżca.

ZBIGNIEW GRABOWSKI.
Londyn, dn. 5 sierpnia 1941 r.

SZKICOWNIK POETYCKI

I
Gdy dzisiaj do zwierzyńców wstępuję i wzdłuż szeregu wieńców przechodzę, niechaj mnie nie opuszcza, niech mnie prowadzi francuskaśka pokora. Gdyż dano mi zrozumieć wreszcie, dlaczego tygrysy, lwy, pantery, jaguary odwarcały zawiesz oczy od mnie, lub spoglądają woskrom mnie z obrażająco, wyniosłą wzdają, jakbym szkłem była „przejrzystym, niezatrzymującym uwagi”.



Była to wzgardliwość poczciwej nienawistna, poczciwej pełna bojaźni. Nie chciały mierzyć się z woskiem z przedstawicieli rasy ludzkiego, najbrzydziej, najbezdolniej, drażniącego. Wyobrażam sobie dzisiaj dopiero gwałtownie, obok którego gęsta czerń ślepi jaguara, zdających się składać z jednej żabowej, wielkiej soczewki — to pogoda, to czysta jasność i krynica łask!

O, bo nie jest zbrodnia łamać kregi posilkoni przeznaczonemu nam, zgodnie z wolą natury, życie przedką zgasić trafną łapą i żywot własny krwią cudzą podtrzymać podług praw. Albo ucieknie komus z krótkiego życia takie oto piękno, piękny cud energii i rozmachu utrudzić w tamą tkawid i ubość celę i namiętnie się tłumić z bezsilnego jęcia — to umie tylko jeden posród zwierząt, człowiek.

W poczuciu wielu jeszcze innych ciężkich win własnego gatunku, patrz na was, bestie, z siostrzaną łobuzia. Ryk wasz nie wydaje mi się już tak obcy jak dawniej, gdy mam obecnie w pamięci chórne, chrupliwe okrzyki tłumów, gdy do nich przemawiał ten czy inny prowodyr, w krwawych sprawach nienawistni i pychy.

„Gotowi” byli i chwaliłi morderczych plemię i wietrzyli krew z łobuzia i dobywali głosu pustyni i puszczy ze swoich plus zycyżnie zwierzyńców, tak słabych, nie dorównujących wspierającym miomom „Jelisiw”, które grzmotały dysponując... O, już mnie uświadomiono, jaki jest mój ród ludzki!

II
Jest wojna, i wiadomo jak długo jeszcze będzie, o jado słusznie zasrodiło, żyć pozwoli swoim ofiarom. Żywot tych wszystkich wspaniałych istot jest już tylko w ręku i mózgu człowieka złożony. A jednak one Boga w nim nie uznają; pełne wzdają, traktują jak niedostępną postać, jak mięso wzbromione, migające za kratą. Ciężko a beznamiętnie wzdychając, odwarcają się do niego tyłem. Jakże jest za to szanuj!

III
Muskuły jaguara wiotkie są w spoczynku tak bardzo, że młode jego ciało wygląda jak woszysty wór pełen kości, opuszczony na ziemie. Ile w tym spoczynku oszczędności, ile zapasu energii do zrywu, do zapłonu, do skoku.

Gdzie, kiedy ten skok, wyczekiwany skok wolności? W śmierć wieczną, w śmierć tylko, ale ona będzie i dzika i ciemna, jak puszcz przygotowane księżycem arkady, ona przyjmie wygnaność, ona pozwoli przysnąć się raz jeszcze dawnemu życiu w mokrych wysokich trawach, życiu na czatach, wśród wolnego polowania i wolnej miłości. Śmierć nie człowiek — może się zmiluje...

Ja mogę jeszcze marzyć, słusznie czy nie, o powrocie w moją życiową trawę, bujną i rośną, w mój klimat i w moje dawne szczęście. Wy już nie, i dlatego z wielkim szacunkiem i współczuciem patrz w oczy wasze tragiczne, które mnie tak słusznie znać nie chcą. Ból wasz jest, być może, nieużywany, nieuświadomiony; ale czyż nie jest gorzki i nasz własny płacz gdy ciępierny przez sen? suchy płacz, który jest tylko przywidzeniem — zwykłe gdy się na lewym boku leżąc, serce uścisnęło... Wasz mójśny ból, ciężki musi być też nadzwyczaj, a jak nudny i skargi, jakiegoś okropnego, tęskne, znużonego, powtarzającego się „we” rzuwane w przestrzeń, jest nutą jakby od niedawna znaną mojej duszy...

O, niema się już nad kogo wywyższać! Każdego z nas może spotkać w obecnych czasach potrzask, sidło i uwięź w obce krajiny, gdzie do swoich również łaby będzie powróć i również staranna komunikacja pocztowa jak od tej oto klatki z tym jaguarem, do rodzinny jego stęsknionej, wśród ostępów i gestwin zielonych, somewhere in Africa.

I tylż nadziei przesłania pozdrowień!
IV
Ludzie są źli i bardzo silni. Ludzie znoszą najokrutniejszą z wojen, ten swój katalizm, z najlepszą wolą, z przedziwną łagodnością. Nie inaczej niż wogóle noszą życie i jego tak dla człowieka ciężkie chwile. Z wyjątkiem rzadkich chwil, zwykłe z chorośliwym stanem związanych, czuje się drapieżca.

człowiek w tym całym chaosie — nie tylko wojennym — jak u siebie w domu; nie dziwi się i nie protestuje zbytnio. Smutak ten jest z nas samych wysnuły, podobnie jak promienna, imponująca, choć wstrętna, arena proficyzmu, w której tkwi papjak, wysradka jest z niego samego.

„Jak może mu być obca? Jak może się przeciw niej biutować? Żądać wyzwolenia z własnej materji?”

V
Rozbrzmiały ryki od klatki do klatki. To nie głód, gdyż minęła już godzina posiłku i następuje drzemka. Obiad był niedawno, i drzemano jeszcze przed chwilą.

To niepokój bezsilnej namiętności, siły, nieznośnego zdrowia. Dynamika wspaniałego stworzenia pyta się o właściwie począć ma za sobą? Podobnie i my, gdy nas młodość przynęcała, przeciągaliśmy się w oknie na świat, łamiąc ręce z żądzą bez obiektu, z pytaniem bez kierunku, z podobną melodią w duszy.



VI
I cóż się dziwić ludzkiemu egoizmowi, na który starzy się społeczeństwo w chwilach gdy od wszystkich żąda ofiar i przynuszonego poświęcenia? Lub sobkostwu wygnaności, obec-



krajowców, żyjących w anormalnych warunkach? Spójrzcie jak lew-niewolnik własne łapy ze czią nieomal liże i pielęgnuje. I cierpliwie i miłośnie, niby czyszczy, a właściwie całuje. Sam sobie jedynie zyczył i wierny sojusznik, tem więcej dala o siebie im bardziej czuje się poniżony. Niema ktoby go uszanował, ktoby mu prawo do wolności przyznał. Gdy się postarzejze, wartość skóry jego płowej przeważa

wartość jego życia, duszy wyjątkowej, i uczynią go dynamem, kły szczerzygnym pod stopami człowieka.

Dlatego poświęca je sam sobie, swoim pracwom, swoim łapom, do których aż oczy wzdają z opiekawczą czułością...

VII
Człowiek „misericordia” nazwał sztylet a słowami „coup de grace” określa śmiertelny strzał w głowę ofiary. Mierzkwowski, przecuwając dzisiejszą wojnę, nazwał Europejszczyznę poprostu antropofagami. Drapieżcy są — psi od nas: nie polują na swój własny gatunek. Ani nawet na pokrewony.

VIII
Z oczu jagurzycy patrzy noc tropikalna, gesta i pełna śmierci; ciemna otchłań przyrody. Chwilami niebieszczy jakby mgłą, odurzeniem okrucieństwa. Wężowa, dumna, tajemnicza, jak młodzieńcze wyobrażenia o kobiecie, nosi skórę swoją jak stroj z miedzianego atlasu, hafutowany w czarne irysy pięciolistnie.

Podgardle jej otacza jakby naszyjnik z ławy, głowę o tegich polizkach zdobi jej drobny czarny taktus eozycyżny. Łapy ma miękkie i kobiece. I tyle krat kolo niej, tak surowe ostrzeżenia w tablicy. Odrutowana jest najgłębiej, widocznie podstępna i bardzo zrećna być potrafi.

A gniewa się nieustannie, gdyż wierna jest wspomnieniu, zrodzona w puszczy. Gra światłocieniem, omija mój wzrok, chłodzi i wyłącza od czasu do czasu taki krzyk jakby sama własna ofiara była.

Dziecko jakieś zaplakało na ręku żołnierza. Poczuło się kęskiem mięsa. Ale zacy, zrównoważony jego papa uspokoił je bardzo pomyslowo: „Patrz, jak to ona gniewa się że jej herbaty nie przyniosła!”

Dziecina roześmiała się przez łzy, i już się nie trwożyła.

Obok inna samotnica, wspaniała łowca Nita, najnamiętniejsza tuarż jak w życiu widziałam! Wzgardliwie wysunęwszy dółną szczękę i podniósłszy głowę, ruszając czarnymi nozdrzami, patrzy w dal. Nie opowiada, jak inne wygnańcze hrabiny, łamana nieco angielszczyzną o swoim rodzice, o wspaniałości swojego dawnego życia, bogactw straconych nie wylicza, nie żąda lepszych warunków, nie płacze.

Łzy, łwie łzy płyną tylko z bładych oczu bardzo starego, grzywiastego jak sноп zboża, płowego łwa samca, który też i „prosto, jasno patrzy w oczy ludziom. Ale ślepy jest, dlatego nie unyknął wzroku przed człowiekiem, i łzy też ze starości tylko płyną mu tak... Najwęższej budzi miedziennej wosłości, najwięcej kolo niego widów. Tylko krzywdy fizycznej nikł mu nie uczyni, bo to angielski tłum, stosunkowo najmniej ze wszystkich tłumów świata dziki...

MARJA PAWLKOWSKA,
rysunki AUTORKI.

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglii aby zwracali się z zaufaniem osobicie lub drogą pocztową z receptami i z wszelkimi zapotrzebowaniami farmaceutycznymi lub medycznymi do składów aptecznych:
John Bell & Croyden, 50/52, Wigmore Street, W.1 (służba dzienna i nocna)
Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1
Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1
wszystkie pod ścisłą kontrolą
SAVORY & MOORE LIMITED
Aptekarzy Jego Królewskiej Mości
143, New Bond Street
LONDON W.1

Książki angielskie Przyczyunki

Matuzewski porównywał kiedyś zbiory artykułów do zastępych odłamków granatów na wymarłym polu bitwy. Każdą wiadomość zrodziła, którą wzięto, do Weger, do wiedeńskiej racji stanu, która znalazła tak karykaturalny wyraz w książce jego ucznia, Taylora „Dziwna to psychoza”. Czyżby autor rzeczywiście uważał, że Serbowie, rządzeni przez drugooddziałową Mafzowę, bezrozumna, przez głupia polityka Szanowna i Izwołskiego reprezentowała jakąkolwiek wyższość w stosunku do państwa Franciszka Józefa?

Leż najciekawszy rozdział w tej książce, „The Jews in the Modern World”. Ten szkic zwłaszcza jest głęboki i szczerzy, i piękny. Autor, sam Żyd i czynny syjonista, pisze o losach żydowskich w rozczulając melancholiją. Nie wpada w ton irytacji czy gróźby, czy banałów, czy frazesów. Pisze — i ta szczerłość godna jest podziwu — że nie można uważać antysemityzmu za zjawisko moralnie ujemne („nor is there anything necessarily and inherently wicked in antisemitism”). Pokoloni omawia wszystkie próby „rozwiązania” kwestji żydowskiej, z bolesnym uśmiechem stwierdza, że jedyny rozwiązanie praktyczne sprowadzają się do „non-existence”, do zniknięcia, do niebytu, do odpadnięcia od pnia żydowskiego. Wyśmiewa tych, którzy w judaizmie chcą widzieć tylko religie. Wyśmiewa asymilację: asymilacja jest mogą jednostki, nie mogą masy. Biada nad losem swego narodu, jednocześnie przyznaje, że na kapitalizmie najwięcej zarobił Anglosasi i Żydzi. Jego uwagi o paralelizmie anglosasko-żydowskiemu są ciekawe i pouczające.

Tu i ówdzie dużo jest spostrzeżeń głębokich i trafnych. Ciekawa np. jest uwaga, że Żydzi zrywali się tak blisko z kulturą niemiecką, bo była to kultura czysto miejska, w której wytworzeniu — w przeciwieństwie do Polski, Francji, Anglii — szlachta i ziemiaństwo niemieckie niemal żadnej nie odegrały roli. Nas, Polaków, razić jednak musi to, że ielektro Anglosasi nie uważają, iż naszych ziem kresowych nie uważa za część Polski, lecz za litewską, białoruską, ukraińską, rosyjską. Taka „pośrednia” propaganda jest zawsze najbardziej skuteczna.

Tem sam charakter mają „Napoleonia”. Sam Napoleon bład, zamazany, dość bez wyrazu. Lepszy Talleyrand, szkoda że tak krótki. Najlepszy szkic o Napoleonie II — szkoda znowu że tak wzięty.

Bardziej zajmujący rozdział o „winowajcach” wojny 1914—1918 r. Namier, podobnie jak Mackiewicz, poddaje dosadne krytyce Bülowa, choć kolory, użyte przez Mackiewicza, są jaskrawsze. Rzecz ciekawa — Mackiewicz jest przeświadczony, że Bülow kłamał gdy twierdził, że głośnego interview Wilhelma II w „Daily Telegraph” nie czytał — Namier przyjmuje te twierdzenia Bülowa za dobrą monetę.

Namier daje nam sylwetki austriackich mężów stanu. Nie są rewelacyjne: masywna

1) In the Margin of History by L. B. Namier, M.A., Professor of Modern History in the University of Manchester. Londyn, Macmillan, 1939; str. VIII i 303 i 1nl.

Polak i Anglik w jednej osobie

Kim był Joseph Conrad? W jego własnych oczach niezmierzony „melonik” i monoki w oku nadawał mu — w jakis tajemniczy sposób — wygląd Anglika. Dla p. Retingera *) świetny pisarz, napotykan na peronie stacyjnym gdzieś na wsi angielskiej, wyglądał — w swoim brazyjowym płaszczu — na „typowego polskiego właściciela ziemskiego z Ukrainy”. Która z tych sylwetek oddaje prawdę, która zbliża się do rzeczywistości? Poprawdziej — żadna i obydwie zarazem. Conrad był bowiem najbardziej znakomitym Polakiem, który kiedykolwiek przemierzył morza i oceany na żaglowych statkach brytyjskich i piął proza angielską. Conrad był jawniejskim jednym w swoim rodzaju.

W życiu narodu takiego jak polski, którego tragiczne dzieje znają wszelkie odmiany i skale wygnaczej tęsknoty, znajdzie się może niejedną wypadek, niejedną fakt, któryby porównać można do sytuacji psychicznej i narostrojów Conrada. Jako chłopak Conrad poznał się z krajem. Ale Polska nie odstępowała go, i oto w r. 1914 uległ pokusie i powrócił na czas jakiś do kraju. Autor ogłoszonych właśnie wspomnień był jego towarzyszem w tym okresie, a nowe szczegóły ich wspólnej podróży do Polski są cennym wkładem i dodatkami do naszej wiedzy o Conradzie. Pan Retinger był w przynajmniej z autorem i był stałe w jego domu. W uwagach swoich o kręgu znanych Conrada nie można żadnych szczegółów, poza — być może — przyjaźnią Conrada dla Johna Galsworthy

*) Conrad and His Contemporaries. Souvenirs by J. H. Retinger. Londyn, „Minerva”, 1941; str. 156.

Vermeerze

Vermeer von Delft, który przyszedł na świat dwadzieścia lat później niż Rembrandt i umarł w szcze lat po nim, uchodził dziś za jedną z najciekawszych i największych postaci w malarstwie wszystkich czasów i narodów.

Pozostało po nim niespełna czterdzieści płócien, przyczem autentyczność niektórych z nich podają liczni badacze w wątpliwość. Nietrudno zatem było wydawnictwu londyńskiemu Allen and Unwin, którego nakładem ukazała się niedawno dużych rozmiarów monografia Vermeerze *), przedstawić w książce wszystkie dzieła wielkiego malarza, w tej liczbie i kilka kwestionowanych.

Monografia zasługuje na uwagę głównie dlatego, że wydawca pokazał się starał reprodukcjami nie tylko to co obrazy te przedstawiają, ale — stojące za panującą dziś, na szczęście, mody — przedewszystkiem to, jak Vermeer wymalował swoje wnętrza, siedzące lub stojące przy oknie kobiety, fragmenty pejzażu czy t. zw. kompozycje. Niektóre obrazy pokazane są, poza reprodukcją całości, we fragmentach: martwej natury, głowy czy rąk, w wymiarze nie mniejszym od wymiaru oryginału. Wy-

postać Tiszy, podlegając wojny Conrad von Hötzendorf, bład młodszy Andrassy. W całym tym rozdziale przebiega niechęć autora do monarchji habsburskiej, do Weger, do wiedeńskiej racji stanu, która znalazła tak karykaturalny wyraz w książce jego ucznia, Taylora „Dziwna to psychoza”. Czyżby autor rzeczywiście uważał, że Serbowie, rządzeni przez drugooddziałową Mafzowę, bezrozumna, przez głupia polityka Szanowna i Izwołskiego reprezentowała jakąkolwiek wyższość w stosunku do państwa Franciszka Józefa?

Leż najciekawszy rozdział w tej książce, „The Jews in the Modern World”. Ten szkic zwłaszcza jest głęboki i szczerzy, i piękny. Autor, sam Żyd i czynny syjonista, pisze o losach żydowskich w rozczulając melancholiją. Nie wpada w ton irytacji czy gróźby, czy banałów, czy frazesów. Pisze — i ta szczerłość godna jest podziwu — że nie można uważać antysemityzmu za zjawisko moralnie ujemne („nor is there anything necessarily and inherently wicked in antisemitism”). Pokoloni omawia wszystkie próby „rozwiązania” kwestji żydowskiej, z bolesnym uśmiechem stwierdza, że jedyny rozwiązanie praktyczne sprowadzają się do „non-existence”, do zniknięcia, do niebytu, do odpadnięcia od pnia żydowskiego. Wyśmiewa tych, którzy w judaizmie chcą widzieć tylko religie. Wyśmiewa asymilację: asymilacja jest mogą jednostki, nie mogą masy. Biada nad losem swego narodu, jednocześnie przyznaje, że na kapitalizmie najwięcej zarobił Anglosasi i Żydzi. Jego uwagi o paralelizmie anglosasko-żydowskiemu są ciekawe i pouczające.

Tu i ówdzie dużo jest spostrzeżeń głębokich i trafnych. Ciekawa np. jest uwaga, że Żydzi zrywali się tak blisko z kulturą niemiecką, bo była to kultura czysto miejska, w której wytworzeniu — w przeciwieństwie do Polski, Francji, Anglii — szlachta i ziemiaństwo niemieckie niemal żadnej nie odegrały roli. Nas, Polaków, razić jednak musi to, że ielektro Anglosasi nie uważają, iż naszych ziem kresowych nie uważa za część Polski, lecz za litewską, białoruską, ukraińską, rosyjską. Taka „pośrednia” propaganda jest zawsze najbardziej skuteczna.

Tem sam charakter mają „Napoleonia”. Sam Napoleon bład, zamazany, dość bez wyrazu. Lepszy Talleyrand, szkoda że tak krótki. Najlepszy szkic o Napoleonie II — szkoda znowu że tak wzięty.

Bardziej zajmujący rozdział o „winowajcach” wojny 1914—1918 r. Namier, podobnie jak Mackiewicz, poddaje dosadne krytyce Bülowa, choć kolory, użyte przez Mackiewicza, są jaskrawsze. Rzecz ciekawa — Mackiewicz jest przeświadczony, że Bülow kłamał gdy twierdził, że głośnego interview Wilhelma II w „Daily Telegraph” nie czytał — Namier przyjmuje te twierdzenia Bülowa za dobrą monetę.

Namier daje nam sylwetki austriackich mężów stanu. Nie są rewelacyjne: masywna

1) In the Margin of History by L. B. Namier, M.A., Professor of Modern History in the University of Manchester. Londyn, Macmillan, 1939; str. VIII i 303 i 1nl.

Kim był Joseph Conrad? W jego własnych oczach niezmierzony „melonik” i monoki w oku nadawał mu — w jakis tajemniczy sposób — wygląd Anglika. Dla p. Retingera *) świetny pisarz, napotykan na peronie stacyjnym gdzieś na wsi angielskiej, wyglądał — w swoim brazyjowym płaszczu — na „typowego polskiego właścici

SZARA EMINENCJA HISTORJI

Współczesna epidemiologia zachwiała wieloma naszymi poglądami na historię świata. Okazuje się, że Imperjum Rzymskie upadło właściwie wskutek złych warunków higienicznych a nie rezultat bitwy pod Trafalgar. Wiekowy wpływ miały epidemie dziesiątkujące armię i flotę francuską, niż genjusz Nelsona.

Na czele tyfus epidemiczny zawsze zwyciężył i bezwzględny tyfus plamisty, zrodzony z malej, niewinnej wszy. Dlatego też głównym doradcą w sprawach higieny wojskowej i cywilnej jest dziś entomolog, który w ostatnim dziesięcioleciu dał studia nad historią, anatomią, biologią i... psychologią wszy.

Herodot opowiada, jak Grecji uratowała zaraza, prawdopodobnie dżuma wraz z czerwonką. Gdy Kserkses wkroczył to Tessali z 800-tysięczną armią, natychmiast choroba zaczęła następować na pięty źle odżywionych i zmęczonych żołnierzy. Kampanji zaniesiano, i król wrócił do Azji z połową wojska.

Wielka zaraza w Atenach położyła kres potęgę Grecji. Oto jak Tucydides opisuje pierwszą wojnę peloponeską: „Na początku lata (430 przed Chr.) wielkie armie obozowały w Attyce. Choroba rozpoczęła się, zdaje się, w Etyopji, potem wędrowała przez Egipt i Libię i wreszcie dotarła do portu Pireus. Rozszerzała się szybko. Nikt już nie robił tego co dawniej uważano za uczciwe. Wszyscy widzieli, jak szybko zmienia się los — ci co mieli wszystko, nagłe umierali, ci co przedtem nie mieli nic, nagłe stawali się posiadaczami fortuny innych”. W drugim roku wojny zginęło 55 000 Ateńczyków. Perykles umarł od zarazy a Lacedaemonejczy rozpoznał ją się po półwyspie gdy Ateńczycy siedzieli zamknięci w swych miastach.

Ta sama zaraza uwohniła Syrakuzy w r. 414 i 396 od oblagających je Kartagińczyków. Jaki byłby koniec wojen punickich, gdyby Hannibal miał swoją flotę i armię usadowioną na dobre na Sycylii?

Wojnę domową w r. 88 przed Chr. wygrał nie Marjusz ale 170 000 żołnierzy armii Oktawiana zmarłych od zarazy.

A potem panowanie Nerona przyniósł cholera, która wedle słów Tacyty „szerzyła się z domu do domu z taką szybkością, że żołnierze chowani byli w tych samych grobach, co ci których przyszło oplakiwać”. Ta sama zaraza pchnęła 30-tysięczną armię Hunów do wędrowni na zachód.

Pierwsza stulecie po narodzeniu Chrystusa — trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów i epidemie, które wraz z wrażliwością z wypraw i wyruszeniami na nie zlozierami zapanowały od Persji aż po Ren, szerzące się nawet wśród plemion germańskich i galijskich. Miasta w Italji i prowincjach pustoszyły i zamieniały się w ruiny. Marek Aureusz umarł na siedmy dzień choroby. Tylko dzień przed zaraza litowała się nad Imperjum. W r. 189 wybuchła znowu, i w samym Rzymie było dziennie ponad 2000 zgonów.

I z Cyprjana cholera o bliżej nieznanym symptomach rozprzysła się od Egiptu aż po Skoczję; a wielka klęska wraz z głodem i trzęsieniami ziemi przyczyniła się w największym stopniu do masowych nawróceń na chrześcijaństwo. Wśród chaosu i epidemii, gdzie dżuma i tyfus mieszały się z ospą i szkarlatyną, upada Imperjum Rzymskie. Jest jeszcze Bizancjum — cesarz Justinjan.

I tu znowu przywleka się straszliwa „dżuma Justinjana” z Egiptu poprzez Palestynę do Bizancjum. Rok 540 — 100 000 zmarłych dziennie. Trupy ładuje się na statki i posyła na dno morza.

„A gdy dżuma ustala, było tyle deprawacji i zbrodniczości jakby zaraza oszczędziła tylko najniegodziwszych” — pisał Prokopjusz.

Przedtem Hunowie odstąpili od Konstantynopola spod pług dziesiątkującej ich hordy. Imperjum Saraceni rozpadło się, bo król Abisynji wrócił spod Mekki gdy „święty ogień” zniszczył jego 60-tysięczną armię. Wojnę wygrała czarna ospa.

Pierwsza armia krzyżowa w sile 300 000 ludzi obległa Antiochję. Kawalerja stała się bezużyteczna, bo z 7000 koni pozostało zaledwie 2000. Mimo to miasto zdobyto po dziewięćmiesięcznym oblężeniu. Ale w marszu na Jeruzolimę za krzyżowcami szedł wróg gorszy od pogan. Gdy wzięto Jeruzolimę, z 300 000 została jedna piąta a i ta stopniała w ciągu dwóch lat do 20 000.

Druga wyprawa krzyżowa jest jeszcze tragiczniejsza. Ludwik VII, król Francji, poprowadził pół miliona ludzi, garstka zaledwie wróciła do Europy. Podobny los spotkał następnę.

Tyfus plamisty zniszczył armję Fryderyka Barbarossa w Rzymie w r. 1157. Śmierć i strach wśród żołnierzy były tak wielkie, że w r. 1167 Niemcy zwinęli namioty i ruszyli na północ. Taki sam los spotkał w osiemdziesiąt lat później wyprawę króla Francji Filipa II na Aragonję.

Dn. 1 października 1439 r. cesarz Niemiec Albrecht dotarł pod mury Bagdadu, dn. 13 t.n. armja była w rozszycie a cesarz w grobie. Zwycięzca była czerwinka, najbliższa krewna tyfusu.

Spór, kto ma rządzić Europą w XVI — Francja czy Hiszpanja, — rozstrzygnął energicznie posunięciem... tyfus. Papież Klemens VII w niewoli, Rzym w rękach armji Franciszka I pod wodzą Lautreca, który oblega Neapol. Książę Oranji pisze dn. 14 czerwca 1528 r. z obleżonego miasta do Karola V: „Od dziesięciu dni już żyjemy o chlebie i wodzie. Wojska Twoje nie otrzymują żołdu. Ani ja ani żołnierze nie potrafimy dokonać rzeczy niemożliwych. Zanim minie miesiąc, będziemy u kresu”.

I znowu wolno nam spytać, jak wyglądałaby przyszła Europa gdyby Neapol upadł wtedy, gdy Włochy i papież byli już gotowi uznać Franciszka I za obrońcę świata i wiary. Dn. 5 lipca Lautrec uważa, że Neapol nie może się już bronić, ale oto tyfus zaczyna się szerzyć wśród obozów francuskich. Lautrec i dwóch pozostałych generałów umiera. Zdziesiątkowana armja francuska zostaje rozbita w drzazgi, a Karol V uzyskuje koronę w Bolonji jako cesarz Imperjum Rzymskiego z laski i woli tyfusu plamistego.

Wojna trzydziestoletnia jest nieprzebranym skarbcem dla epidemiologa. W ciągu pierwszej połowy owego trzydziestoletniego bitwy wygrał niepodzielnie tyfus a nie bohaterowie w rodzaju Wallensteina. Potem do tyfusu przyłączyła się jego najbliższa rodzina i przyjaciele. Dn. 3 września 1632 r. Gustaw Adolf odstąpił od oblężenia Norymbergi. Pozostawił za sobą stratosławie pola, popioły wsi i stosy trupów na ulicach miasteczek. Resztki ocalałej ludności i maruderzy z obydwu armji włożyli się po opustoszałych obozach żołnierskich w poszukiwaniu żywności i tak rozwiekali tyfus i inne choroby po całej Europie — od Rosji po zachodnią granicę Francji.

Napoleon, znalazłszy się z wojskiem na terenie biednej i w urzędzenia sanitarne ubogiej Polski, właściwie przegrał już odrazu wyprawę na Moskwę. Po bitwie pod Ostrowem armja dźwigać musiała ciężar 80 000 chorých. Chirurg armji Napoleona de Kirchoff twierdzi nawet, że wszystko byłoby inaczej gdyby cesarz zadowolili się na jakiś czas Polską i podniósłszy jej stan gospodarczy, zorganizował odpowiednią służbę sanitarną w kraju i armji. Tymczasem już od chwili przekroczenia Niemna, tyfus ani na krok nie odstępuje Francuzów. Zorganizowano lazarety w Gdańsku, Królewcu i Toruniu. Gdy dotarło do Moskwy, nie można było użyć stosunkowo dobrze skądinąd wyekwipowanych szpitali, bo miasto podpalili Rosjanie. Chorzy, ranni i dotąd zdrowi żołnierze obozowali w przepelnionych barakach. Żywności nie było.

Podczas odwrotu, w Smoleńsku pozostawiono 20 000 „przypadków tyfusu plamistego”. Dn. 8 grudnia do Wilna wróciły resztki armji cesarza — 20 000 złamanych na duchu i chorých żołnierzy. Chorzy na tyfus zapelnili wszystkie szpitale. Leżeli na słomie wśród własnych wydalini, o chłodzie i głodzie, bez opieki. Jedli skórę i podobno ludzkie mięso. Nie było żołnierza, któryby nie przeszedł tyfusu — wyzdrowiało tylko 3000.

Tak wielki był genjusz Napoleona, że mimo tej straszliwej katastrofy, w niespełna rok zdołał zebrać nową armję, pół miliona ludzi. Nie znalazł jednak na epidemiologji i nie przewidział, że z braku starszych weteranów i młodzieży, zbiera tyfus palno pod ogniemi zarazy. Zanim doszło do bitwy pod Lipskiem, armja Francuzów stopniała do trzeciej części. Z tego dwakroćnie większe zniszczenia zabrały epidemie niż brzoń nieprzyjaciela.

Pod wpływem grozy tych straszliwych epidemii tyfusu był Mickiewicz, gdy pisał, że „bronia się jeszcze twierdzą Grenady, ale w Grenadzie zaraza”. Żołnierze hiszpańscy przywieźli ją z Cypru po wojnie z Turkami. W obozie pod Grenadą Ferdynand i Izabela przekonałi się, że armja ich zmalała o 20 000 ludzi. 3000 zabili Maurowie, 17 000 zginęło od zarazy, którą sądzić za dokładnych opisów ówczesnych kronikarzy był z pewnością tyfus plamisty.

Tyfus towarzyszy uparcie wszystkim postawom i wojnom wołnościowym na obu kontynentach. Ktoś nawet powiedział kiedyś, że właściwie tyfus plamisty a nie sprzymierzeni wygrał wielką wojnę. Zaczął się na froncie serbskim już w listopadzie 1914 r. Wszyscy niemal lekarze serbscy zali na tyfus, trzecia część zmarła. W lutym i marcu tyfus szerzył się z zaskazującą szybkością. W kwietniu 2500 chorých na tyfus przyznawano dziennie do samych tylko szpitali wojskowych. W ciągu pół roku zmarło 50 000 ludzi. Z liczby 60 000 jeńców austriackich pozostała połowa.

Tak więc Serbia była bezsilna. Ale mimo to Austria nie atakowała. Strategja monarchji wdziała dobrze co oświadczyło wrocznie do Serbji w tych warunkach. Strategja pinowała tyfus. Mocarstwa środkowe straciły bezwzględnie pół roku. Gdyby w tym czasie zajęto Serbję, zdobyto Saloniki i stworzono front północno-zachodni przeciwko Rosji, losy wojny wyglądałyby inaczej.

Tyfus zalał Rosję. 25 milionów chorých, 3 miliony zgonów, i niechże historycy zastanawiają się, co utworowało drogę rewolucji: stosunki społeczne, klęski wojskowe czy tyfus?

Teren walk w wschodniej Polsce stał się zachodnią granicą panowania tyfusu. Na zachodnim froncie tyfusu plamistego w jego najczystszej i najgroźniejszej formie nie było. Drogo zapłaciła za ten zaszczyt ludność i armje wschodnich rubieży Rzeczypospolitej. Ale tam właśnie zrodziło się jedno z największych odkryć — tam profesor uniwersytetu lwowskiego Rudolf Weigl wypracował szczepionkę, po której później przysyłały kliniki całego świata.

Tyfus plamisty nie zginął, i groza jego wisiał nad dzisiejszym światem. Czekają tylko, by zaatakować tłumy uciekinierów, skłupia ludzkie w schronach, które zanoszą zarazę do wojsk walczących. Ta obawa kieruje pracami „Medical Research Council”, gdzie higienista i entomolog przynoszą raporty o awersji ludności. Dlatego z ulgą powitano oświadczenie Sir Wilsona Jamesona, głównego lekarza ministerstwa zdrowia, że... pod tym względem jest znacznie lepiej niż przypuszczano.

Niekiedy z nas staje przed oczami tyfus w Warszawie, tyfus w Białymstoku, Lwowie i Wilnie. W uszach brzmie przemówienie wygłoszone w jednym z ośrodków zdrowia magistratu m. st. Warszawy dn. 9 października 1939 r. Oberstaatsarzt prof. von Richter w mundurze pułkownika z pierśią obwieszoną orderami, od nas lekarzy ze zburzonych szpitali, lekarzy Warszawy w gruzach, miasta bez wody i światła, OD NAS prof. von Richter żądał przyrzeczenia, że wszy i tyfus nie zjedzą wypasionego żołnierza niemieckiego.

Z TEKI TOPOLSKIEGO



Poległy w akcji nad Francją dowódca 302-go Dywizjonu Myśliwskiego (pierwszy z lewej) ze swoim „kluczem”



Odpoczynek

ROZMAITOŚCI

Przed poprzednią wojną Lenin, który wówczas używał swego prawdziwego nazwiska, — Uljanow, — wysiadł godzinami w bibliotece British Museum.

Niedawno pewien Rosjanin zapytał jednego ze starych wozaków biblioteki:

— Czy pamięta pan człowieka o nazwisku Uljanow?

— A jakże. Taki łysy z brodą. Co też się z nim stało?

Korespondent tygodnika amerykańskiego „Time” odwiedził P. G. Wodehouse'a, gdy ten jeszcze przebywał w obozie dla internowanych.

Amerikanin powiedział Wodehouse'owi, że Hemingway napisał nową książkę o wojnie hiszpańskiej.

— Doprawdy, — zawołał humorysta, — nie mogę sobie wyobrazić bardziej nudnego przedmiotu.

Ostatnia książka Hemingwaya p.t. „For Whom the Bells Toll” cieszy się rekordową poczytnością zarówno w Ameryce jak i w Anglii. Honorarja pisarza przekroczyły sumę 150 000 dolarów.

Przemówienia radjowe Wodehouse'a, który z Berlina opowiadał Amerykanom jak mu się dobrze dzieje, wywołały niesłabnącą falę oburzenia w Anglii. Nikt wprawdzie nie pali na stosach książek tego humorysty, ale za szereg bibliotek publicznych wycofało jego twory z obiegu.

Jeden z angielskich sądów powiatowych miał do rozstrzygnięcia nielada zagadnienie: kiedy skończy się wojna?

Oczywiście, nie szło tu o to ile lat dzieli nas jeszcze od zwycięstwa nad Hitlerem von Schiekelgruber. Niemniej zagadnienie jest zawile. Sędzia musiał bowiem rozważyć, czy wojna kończy się z chwilą zawieszenia broni, podpisania traktatu pokojowego czy też jego ratyfikacji.

Wszystko dlatego, że doszło do sporu o wille wydzierżawioną na „czas trwania wojny”.

Wyrok nie został jeszcze ogłoszony.

Opowiadają, że Niemcy zbudowali w północnej Francji specjalne lotnisko dla myśliwców Anglików. Wszystkie szczegóły były doskonale naśladownictwem prawdziwego lotniska. „Hangary” i „maszyny” były starannie zamaskowane.

Dywizjon bombowców brytyjskich pojawił się nad tem lotniskiem i zaatakował je gwałtownie bombami... z tekury.

„Polowanie na człowieka”, to tytuł filmu, który wzbudził sensację w Nowym Jorku. Jest to całkiem nowe ujęcie zagadnienia hitlerowskiego. Treść filmu, to polowanie na Hitlera — największego zbrodniarza świata. Myśliwym jest Anglik, którego widzimy w lecie 1939 r. w górach bawarskich, w pobliżu Berchtesgaden. Kilkakrotnie bierze on Hitlera na celownik, ale zawsze coś mu staje na przeszkodzie. Wzięcie, tortury i pasmo fantastycznych przygód nie

mogą powstrzymać Anglika od dalszego polowania. W ostatniej scenie widzimy jak ładuje w Niemcech przy użyciu spadocchronu. Z ekranu rozlega się głos: „Może to potrwać tygodnie, miesiące, nawet lata, ale myślicy ustrzeż swą zwierzyńcę”.

Kpt. Ramsay, członek Izby Gmin, który już od roku przebywa w więzieniu, oskarżył pismo „New York Times” o znieważenie; dziennik amerykański zarzucił mu zdradę stanu.

Podczas długiej rozprawy sądowej kpt. Ramsay wygłaszał piękne przemówienia jak to pragnie pokój i dobra Wielkiej Brytanji, ale z zeznań świadków wynikało jasno, że uprawiał propagandę faszystowską i że walczył wysiłek wojenny państwa.

Przedstawiciele „New York Times” nie zdołali natomiast udowodnić zarzutu literalnej zdrady stanu, i sędzia wydał salomonowy wyrok: kpt. Ramsay otrzyma pół pensa odszkodowania, ale zapłaci niemal całą kosztu procesu, które wynoszą sporą sumę.

W motywach wyroku sędzia podkreślił, że nie daje wiary zeznaniom Ramsaya, i dodał: „Ramsay nie mówi prawdy gdy twierdzi, że byłby możliwym zarwarcia honorowej i sprawiedliwego pokoju. Wie on doskonale, że traktat z Hitlerem jest bezwartościowy i równoznaczny z wypowiedzeniem wojny”.

Opowiadają, że Amerykanie formują dywizjon myśliwiskii zupełnie nowego typu. Składać się on ma z sokolów specjalnie wyszkolonych do wyłapywania gołębi pocztowych nieprzyjaciela. Amerykanie nie boją się o swe własne gołębie, które zaprawiają podobno do lotów nocnych.

„Oczywiście, inni kłamią. Nasze sprawdzania wojenne natomiast są wzorem prawdziwości. Radio niemieckie jest światłem źródłem prawdy” (dr. Goebbels).

Amerikanicy wynalazli sposób robienia szkła bez piasku i kwarcu. Nowe szkło składa się z trzech rzadkich metali: tantalu, tungstenu i lanthanu.

W Nowym Jorku opowiadają o pewnej pani, która postanowiła okazać gościnność żołnierzom amerykańskim z sąsiedniego obozu wojskowego. Przesłała ona na ręce dowódcy obozu zaproszenie na obiad dla dwóch żołnierzy, dodając aby w żadnym razie nie przysyłać jej żydów.

O wyznaczonej godzinie stawiło się dwóch żołnierzy-murzynów.

— Musiała zająć jakąś pomyłką — powiedziała na ich widok niewiasta.

— O nie, pułkownik Cohen on nigdy nie mylił się.

Podsluchane w autobusie londyńskim: — Biedni ci Rosjanie. Te naloty muszą być dla nich straszne. Nie są przecież tak przyzwyczajeni jak my.

List generała Kazimierza Sosnkowskiego

W „Daily Telegraph” z dn. 7 sierpnia b.r. ukazał się list treści następującej.

Szanowny Panie.

Nawiązując do artykułu sprawozdawcy dyplomatyckiego pisma Pana p.t. „Dwie dalsze rezygnacje polskie — rozłam spowodu Rosji” — w numerze z dn. 2 sierpnia, mam nadzieję, że pozwoli mi Pan sprostować pewne niedokładności.

Nie byłem nigdy i nie jestem „przedstawicielem arystokracji”, w rządzie zaś zajmowałem stanowisko wicepremiera i jako taki miałem sobie powierzona ważną funkcję.

W młodości swej walczyłem o wolność mojego narodu w szeregach Polskiej Partji Socjalistycznej w najtrudniejszych warunkach konspiracyjnych. Od wybuchu wojny światowej służyłem mojej Ojczyźnie jako żołnierz i nie należałem do żadnego stronnictwa, zachowując przytem szczerze demokratyczne poglądy.

Azkołwiek nie jestem wielbicielem komunizmu, uważam całkowicie konieczność skupienia wszystkich możliwych sił do walki z głównym wrogiem, a powody mojej rezygnacji mają swe źródło w zgola innych względach.

Mogę jedynie powiedzieć, że jakkolwiek szczerze pragnę porozumienia rosyjsko-polskiego, głosowałem przeciwko zawarciu paktu w formie, w której był on zaproponowany, nie przez jakieś uprzedzenia do rosyjskiego systemu politycznego czy też społecznego, ale ponieważ w sumieniu mojem przekonany jestem, że umowa przemiłcza pewne fundamentalne prawa mojego narodu, którego sprawa, jak to powiedział Prezydent Roosevelt, jest natchnieniem ludzkosci.

Mam nadzieję że Pan zrozumie moje stanowisko jeśli powiem, że byłem głęboko wstrząśnięty, gdy najazutem w czolowym piśmie angielskim artykul wysuwający poglądy, że „przewództwo w Europie wschodniej może przypaść jedynie Niemcom lub Rosji” i zalecający przyszłym budowniczym pokoju dzieło kongresu wiedeńskiego z r. 1815 — który zatwierdził rozbiory mojej ojczyzny — jako wzór godniejszy naśladowania, aniżeli traktat wersalski z r. 1919 — który uznał niepodległość Polski.

KAZIMIERZ SOSNKOWSKI.

Apogeum wolności słowa

W artykule wstępnym Andrzeja Lubieca „Za mgłą” („Wiadomości z Świata”, organ żołnierzy lotniczych, z dn. 7/8 sierpnia b.r.) czytamy:

„W polemice, jaka toczy się od dłuższego czasu pomiędzy „Dziennikiem Polskim” a „Wiadomościami Polskimi” — polemice wydolanej zupełnie szlachetnie i uczciwie przez Grabowskiego, — padła w „Dzienniku Polskim” taka oto uwaga: „p. Grabowski dowiódł iż jest niezależny i odwołuje się instancji — od cenzury i od redaktora „Wiadomości Polskich”. Tak — dodają „Wiadomości z Świata” — Nie można p. Grabowskiego pokonać argumentami, niech więc to zrobi cenzura. Wolność słowa w państwie demokratycznym znajduje się w sycyitu swego rozkwitu. Niech żyje pan cenzor!”

„Nazi” czy Niemcy?

W nr. 73 „Wiadomości Polskich” w notatce „Nazi” czy poprostu Niemcy? — poruszylismy sprawę używania terminu „nazi” zamiast „Niemcy” w artykułach politycznych pisanych przez Polaków. Że to rozróżnienie budzi sprzeciw także w społeczeństwie angielskim, świadczy list kpt. J. H. F. McEwena, członka Izby Gmin, ogłoszony w „Sunday Times” b.r. (por. artykuł zbiegniewa Grabowskiego w numerze bieżącym „Wiadomości Polskich”).

„Wypada sądzić, że wyrażenie „Niemcy hitlerowskie”, użyte po raz pierwszy w niedawnym traktacie angielsko-sowieckim, ma pewne znaczenie. Minister spraw zagranicznych użył go ponownie, mówiąc w ubiegłą środę o układzie, do jakiego szczerliwie doszło między rządami Sowieckimi i Polski. Walsam się z wysnutwaniem wniosku, że to wyrażenie wskazuje na zamiar rządu, aby przeprowadzić rozróżnienie między Niemcami hitlerowskimi a Niemcami innego rodzaju, gdyż rząd czestokroć wypierał się tych intencji.

„Wobec tego, coż ono oznacza? W rokowaniach o wspomiane układy używano jednego wspólnego mianownika, i może to nie my jesteśmy odpowiedzialni za ten wyraz, lecz jest on wynikiem kompromisu osiągniętego celem uniknięcia jeszcze bardziej nieodpornego i niepożądanego określenia. W każdym jednak razie użycie tego rodzaju wyrażenia jest niezgodne z uznaną postawą rządu J. K. Mosci wobec naszego niemieckiego wroga”.

Ten sam kpt. McEwen wezwał ministra informacji o „unikanie troskliwego rozróżnienia „nazich” i Niemców” w propagandzie radjowej.

Konkurs dla młodych

Dyrekcja Państwowego Liceum i Gimnazjum Żeńskiego im. Marii Skłodowskiej-Curie w Skoczce ogłasza konkurs literacki dla młodzieży o nazwie „Konkurs dla młodych” w wieku 14—19 lat.

Tematem pracy byłyby przeżycia osobiste związane z wypadkami wojennymi ostatnich dwóch lat.

Praca powinna być ujęta w formie bądź noweli, bądź reportażu; nie powinna przekraczać 6 stron pisma maszynowego (arkusz konceptowy — foilsap).

Prace przesłane do oceny należy podpisać pseudonimem autora — a w załączonej zamkniętej kopercie pod danym pseudonimem przesłać imię, nazwisko, (klasę), wiek autora i adres.

Termin złożenia prac upływa dn. 1 października b.r. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w listopadzie b.r.

Przewodnictwo jury konkursowego objął Zygmunt Nowakowski.

Za prace przyznane będą nagrody pieniężne: dwie pierwsze po £3, dwie drugie po £1, 10s.

Przewidziane są ponadto nagrody dla autorów prac wyróżnionych.

Najlepsze prace zostaną ogłoszone.

Prace należy nadsyłać pod adresem dyrekcji Liceum w Scene Palace, by Perth, Scotland.

KORESPONDENCJA

CO MYŚLĄ I W LONDYNIE I W WARSZAWIE

Do redaktora „Wiadomości Polskich”

W artykule p. ministra Jana Stańczyka w nr. 73 „Wiadomości Polskich” znajdując następujące zdanie: „Otwarcie więzień, w których gina najszlachetniejsi bojownicy o ideały wolności i sprawiedliwości społecznej, wznowiłoby nie tylko jednolity front robotników świata z frontem czerwonej armji, ale... i.t.d.

O ile zrozumiałem, p. Stańczyk, wysuwając aż nadto uzasadnione żądanie otwarcia więzień sowieckich, formuluje interesującą możliwość „jednostki frontu robotników świata z frontem czerwonej armji”.

Przed kilku miesiącami w jednym z polskich pism emigracyjnych wyczerpałem przedruk odezwy, wydanej przez robotników warszawskich w listopadzie ub. r. Jako cel walki odezwa ta wskazywała niepodległą Polskę ludową, „która realizuje wreszcie ideały wolności, sprawiedliwości społecznej i równouprawnienia wszystkich narodów jej ziemi zamieszkujejących”. Odezwa ta jednak wskazuje drogi, prowadzące do osiągnięcia tego celu: „Zwycięstwa w tej walce nie przyniesie zbawcze przybycie takiej czy innej armji na nasze ziemie, nie dadzą go pakti i umowy — ale rewolucyjny ruch mas ludowych Polski, zbratanych z innymi ludami Europy, walczącymi dziś z faszyzmem i z wszelkimi objawami tyranji i totalizmu na wszystkich wojennych i podziemnych frontach”.

Odezwe tę nazwałbym potrosze jasnowidzącą, gdybym nie wiedział, jak bardzo wystrzona jest świadomość i zdolność przewidywania, cechująca naogół masy robotnicze.

Mając przed sobą dwa sformułowania zasadnicze — zawarte w nr. 73 „Wiadomości Polskich” i w odezwie robotników warszawskich — wybieram to drugie.

Pozwalam sobie nakoniec poświęcić kilka słów zagadnieniu t. zw. „jednostki frontu”. W zargonie politycznym oznacza on zazwyczaj współdziałanie z komunistami.

W Wielkiej Brytanji Partja Komunistyczna po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej zwróciła się do tutejszych organizacyj robotniczych z propozycją współdziałania. Dn. 31 lipca b.r. Partja Pracy oraz Kongres Związków Zawodowych powzięły wspólną uchwałę, witaając serdecznie przyzmiere z Rosją w walce z Niemcami, ale zarazem odrzucając współpracę z Partją Komunistyczną. Uchwala ta przypomina kilkakrotnie zmiany w polityce komunistów, dokonywane zawsze bez porozumienia z masą członków partji.

„Brytyjska Wspólnota Ludów — mówi uchwała — od niemal dwóch lat dźwiga brzemie tej tytanicznej walki. W godzinie wspólnego niebezpieczeństwa jedność ludów Brytanji w obronie swobod i urządzeń demokratycznych osiągnęła stopień nieznanym dotychczas w dziejach... Jedynym uderzającym wyjątkiem była Partja Komunistyczna... Ciępienia ludu brytyjskiego pod naporem niemał nieustannych nalotów hitlerowskich nie poruszały jej i nie obchodziły. W deklaracjach komunistycznych nie było śladu współczucia ani dla ludu brytyjskiego, ani dla sprawy o którą walczy Brytanja... Ta polityka nie jest i nigdy nie była określana przy pomocy metod demokratycznych ani przez wzgląd na potrzeby i na cele ludu brytyjskiego. Kongres Związków Zawodowych i Partja Pracy dochodzą przeto do wniosku, że żadne skrajowanie się z Partją Komunistyczną nie jest możliwe”.

Przypuszczam że poglądy p. Stańczyka są podobne, i chyba tylko przez nieuwagę w artykule jego znalazł się termin, który posiada treść zdyskredytowaną.

JAN WOJNICZ.

JĘZYK I TRADYCJA

Do redaktora „Wiadomości Polskich”

Pisząc swojemu czasowi artykuł p.t. „Język a rasa” musiałem się liczyć z polemikami. Uwagi na ten temat p. Stanisława Westfala w nr. 69 „Wiadomości Polskich” są niewątpliwie bardzo ciekawe, lecz nie są dla mnie bynajmniej przekonujące, mimo apodyktyczności „naukowej”, z wyjątkiem szlachetnego sprostowania o pochodzeniu sanskrytu od języka praindoeuropejskiego. Pan Westfal się myli, nie wierząc w słuchowe rozróżnianie rz i ż, ó i u przez wielu ludzi, szczególnie przez zających — ze szkoły — źródłosłow. Przyznaję, że jestem pod względem kultury języka tradycjonalistą (nie „purystą”), a tradycjonalizm w kraju, którego jesteśmy gośćmi, stanowi jeden z czynników siły narodowej.

ADAM ROMER.

Alfr. Szr. w Dunfermline. Prosimy o dokładniejszy adres, nie skorzystamy.

M. L. Z uwagi nie skorzystamy.

Edmund Damski. Zamówiliśmy już recenzję z tej książki.

B. T. P. List wysłaliśmy. Adres był rzeczywiście niepełny: brakowało Greenford Park.

T. S. Prace są w czytaniu; niestety, członkowie jury mają niewiele czasu, i stąd zwłoka. Wyjaśnienia w tej sprawie udzieliliśmy w nr. 69 „Wiadomości Polskich”.

W poprzednim 6-stronicowym numerze (73) „Wiadomości Polskich” (17 ilustracji): Stanisław Baliński: O ziemi Nowogrodzkiej. — Zygmunt Nowakowski: Kierwora Górka. — Stanisław Mackiewicz: Odpowiadam na zarzuty. — Zygmunt Bohusz-Szysko: O książce „Droga wiodła przez Narvik”. — Tymon Terlecki: Stanisława Wysoka. — Henryk Gotlib: Posłannictwo Józefa Pankiewicza. — Janusz Łaskowski: Powozemny beniaminek. — Zbigniew Grabowski: Przewodnik po Londynie. — Wacław Sołski: Parodia „Wiadomości Polskich”. — Jerzy Horzelski: „Noena dusza” człowieka. — Alfa: Rozmaitości. — Korespondencja. — „Amnestja” dla jeńców wojennych. — „Czechosłowak” o numerze czechosłowackim „Wiadomości Polskich”. — Wzruszający hold. — Skarbnica Polska. — Stanisław Wypiański: Batory pod Pskowem. — Stefan Witkiewicz: O obrazie Matejki „Stefan Batory pod Pskowem”.

POLKI ODWIEDZAJĄ SALON FRYZYJSKI LUIGI, 46, Buckingham Palace Rd., S.W.1

Mówi się wszystkimi językami międzynarodowymi

Prosimy o zapowiedź telefoniczną pod VICTORIA 9508

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C. 2; Published every Tuesday at 229/231, High Holborn, London, W.C. 1.

DWIE ŚWIETNE
RESTAURACJE FRANCUSKIE

LACOUILLE
RESTAURANT

79, St. Martin's Lane, London, W.C.2 Temple Bar 8766
W NIEDZIELE ZAMKNIĘTA

i

LACIGALE
RESTAURANT

29, Romilly Street, London, W.1
in Soho Gerrard 3437
OTWARTA W NIEDZIELE

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 50%
PŁACIMY NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE ZA BRYLANTY, ŻŁOTO (18K - ZA UNGJE), Bismut, krysztal, kamienie szlachetne, srebro, platyna, sztuczki i kostowności wszelkiego rodzaju. Gotówka natychmiast. Rząd J. K. Mosci przejmie całe zakupywane przez nas złoto. Prosimy o odwiedzenie nas lub zgłoszenia przesyłką pocztową.

LINDEN & CO., 85, New Bond Street, London, W.1
PIERWSZY SKLEP JUBILERSKI PRZY NEW BOND ST.

SKARBNICA POLSKA

JULJUSZ SŁOWACKI

OJCIEC ZADZUMIONYCH

Dla objaśnienia następnego poematu, potrzeba mi nieodbić powiedzieć kilka słów o kwarantannie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El-Arish. Wymyślam to jest dziwny Mohameda Ali, że między dwoma swoimi państwami zaznaczył myślą na błędnym piasku granicę i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbić w tym miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczej z Egiptu do Syrii dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądach, musiałem podobnemu ulec losowi. Po ośmiu dniach drogi, przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niej przez dni dwanaście zamieszkał. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zalane, mogło prawu ludziemu podlegać; ale miew Baszy zdawał się wisieć w błędnym niebie, nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny, kazali zarys ukleknąć wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widziałem głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo straszego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish; pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu obaczyłem zdaleka, a doktor pierwszyem napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagambą, sławną pięknością na Wschodzie, o której Lamartine z takim uniesieniem rozpowiadał, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartym niebem jak najwygodniej uczynić; wydał za skład kilku namiotów dla naszej podróźnej gromadki; a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzeły w białej i srebrnej materii, aby mi na chłobie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem, przywykłem zacząłem do smutnego widoku, który mnie otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerywała piaski dolinę, i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarża morza Śródziemnego rozciągała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś na piramidalnej piasku mogła widać białą kopułę małego grobowca Szecha, straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy; a za architekturą jego i żółtawą białoską nadawał mu pozór kościoła-trupa. Z innych stron wzgórze piaskowe i na nich strazy namioty, i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych, orientalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożek piaszkowy, z którego muzeum obwoluwały dońnym głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powieści; a pokazał się mi we właściwszym świetle, albowiem je zobaczy przez lzy ludzkie. Co do mnie, przywykłem zacząłem do mego namiotu i podobalem sobie w czysy piaszkowy stęp i w szumie morza, do którego brzegów pozwalało mi chodząc, wzywając z sobą jednego z kwarantannych strażników. W wigiliję Bożego Narodzenia (1836), kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegały aż do dalekiej ojczyzny mojej i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztaach w gronie rodzinnem, okropna burza, przewiewana wicherem z morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i polala się deszczem piorunów na mój namiot oddalony od ludzi. W smutne i zamysłone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szleszcząc od wicherów i deszczu namiot chwiał się nade mną, i zacerwieniony od piorunów wydawał się ognistym i strzęgającym łoża bezsensnego cherubinem... Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot nanowem zapalił się nie chciał. Prócz tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni... Anelli myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cicha... przeszła jednak ta bezsensna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczki zasnuwał powietrze. Ale nie tu był koniec przerażeń; krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowem niebezpieczeństwie; owa rzeczka, gdzie wezora zaledwo nitka wód sączyła się po piaszkowym korycie, nabrzmiała nocną ulewą i srebrnymi pletwami prosto biegła roztoczyła się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku; uniesiwszy pomocną Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napelnić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwaných domów, zostały w dolinie. Zbieży i ponury patrzyłem ze wzgórze na tryumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, zdziwione doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskogo prawie na ziemi rozbiecia, nie mogłem jednak udać się do bliższego miasteczka gdzie byli ludzie, ani prosić aby mnie pod dach jakiś przyjęto i przy gościnem posiadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którym stałem; a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć, pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniło się nakonie niebo, a ja, naucony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórze najwyższem rozbiłem namiot; i przyszły dni pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chęlny, że był niedługo tłumaczem Champolliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży i że mnie zapewne zbierał zapas małych spostrzeżeń, ktorými będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, wpięty ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, ktorých dźwięk niezrozumiały i smutna nuta kołysały mnie do snu. A wtemczas — może mnie anioł znow odkrywał płaszczem rycerza Solimy i nazwał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka śpiewającego smutne dumy z ziemi rodzinnej. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mego, o tym złotym śnie i tym namocie, gdzie miałem chwilę spokojną, gdzie budząc się, przez roztrwonione płótno oczy moje

napotykały konstelacją Oriona, tak podobną do gwiazdzistej lutni zawieszanej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął. — Wielbłądy moje znów ukleknęły przede mną i podniosły się z pielgrzymem zadumany, wyciągając długie, wezom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu; a kiedy już byłem o godzinie do trzech wschodowi, obróciłem się na siodle aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórze, i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie aby mnie pozegnać; a czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot nie czując już w sobie mieszkawca, wyrwał kilka kołof z piasku i skrydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje lono czarne i puste. — Odwróciłem się od tej rzeczy co miała serce rozdarła po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilije białe, zwiastujące, że się zbliżam do żyzniejszej krainy; i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie trószczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilije, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny odbytej przeze mnie na pustyni; gorszą daleko wyszedł ów starzec opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historia jego boleści nie jest całkowicie zmyślną: opowiadał mi ją doktor Steble, ktorému tak za mnie jako za chęlny i za uprzejmego dla mnie, podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział że te kilka wyrazów znalazły go na pustyni. A le czemże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodził jak kregi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty, Jak na tym piasku rozbiłem namioty. Malenkie dziecko karmiła mi żona, Próż też dziecka, trzech synów, trzy córki, Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona, Przybyła za mną. Dziecię doktorów Chodziło co dnia na piasku żagoraki, Karmił się chwastem nadmorskich ajerów, A wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem.

Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali. Córki po wodę chodziły z dzbankiem, Synowie moi ogień rozkładali, Zona, z synaczkami przy piersiach, warzyła.

Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła Promienistemu słońcu się uśmiecha, Wszystko tam leży pod kopułą Szecha. A ja samotny wracam — o! boleści!... Trzy razy wieków przeżywszy czterdzięci, Odkąd do mego płóciennego dworu W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru. O! niewiadoma ta boleść nikomu! Jaka się w mojem sercu dziś zamyka! Wracam na Liban, do mego domu — W dziedzinie moim pomarańcza dzika Zapyla: „Starce! gdzie są twoje dziatki?” — W dziedzinie moim córek moich kwiatki Spytają: „Starce! gdzie są twoje córki?” Naprzód błękitne na Libanie chmurki Pytać mnie będą o synów, o żonę, O dzieci moje, wszystkie pogrzebione Tam pod grobowcem tym okropnym Szecha — I wszystkie będą mnie pytały echa, I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku. Wielbłądy moje cicho się pokładły; Dziecko, jak mały aniołek w obrazku, Karmiło wróble, a ptaszka jadły, Aż do ranka prawie przychodził dziecinie — Widział jej małą rzeczkę w dolinie? Od niej uwarala najmłodsza dziewczyna, Z dzbankiem na głowie, prosić ją trzciną.

Przyszła do ognia i wodą z potoku, Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci — Najstarszy — z ogniem zapalonym w oku Wstał, dzbanek wody chwycił w ówczę dlonie

I rzekł: „Sam Bóg ci za wodę zapłacił, Bo chce pić jak pies, bo ogień mam w łonie”.

To mówiąc, wodę wypłuszył ze dzbanu, Powalił się tu jak palma złamana. Przybiegiem — nie czas już było ratować. — Siostry go chciały martwego całować; Krzyknąłem wściekły: „Niech się nikt nie waży!”

Porwałem trupa i rzuciłem strażu, Aby go wzięła na żelazne sgrzebu I tam gdzie grzebią żaronych grzebiła. A od tej nocy, tak pełnej boleści, Naznaczono mi nowych dni czterdzięci.

Tej samej nocy Hafne i Amina — Umarły, leżąc na łożu przy sobie. A patrz! — tak cicho umierały obie, Ze choć po śmierci najstarszego syna Oczy się moje do snu nie zawaryły, A nie słyszałem jak obie umarły, I nawet matka własna nie słyszała, Choć wiem, że także tej nocy nie spała. Rankiem, obiedwie sine jak żelazo, Dwie moje córki, zabite zaraz, Wyulec kazałem strażnikom z namiotu; I porzuciły nas! — i bez powrotu!... A jak dorosłym przystoi dziecinom, Wiosami ziemie zamotyli rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowem? Zawsze tam wchodził za lasem palmowym, Zawsze zachodził za tą piasku górą; Zawsze to niebo nie splamione chmurą; A mnie się zdawało wtemczas, nie wiem, czemu, Ze słońce słońcu nie równe zlotemu; I już nie takie jakie było wczora, Ale podobne do słońca-upióra. A niebo, które patrzyło na zgubę Meo rodzeństwa, moich trojga dzieci, Tak mi się mgliste zdawało i grube

Ziemi wzywem i słońca purpurą, Ze nie wiedziałem czy pacierz dołaci — Do Pana Boga co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro. Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo. Małzonka moja serce miała lżejsze, I nawet moje dzieciątko najmniejsze Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać — Ja sam nareszcie zacząłem oddychać; Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.

O! była to więc piekielna godzina! Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna, Śmierć zobaczyłem. — Ach, ja go tak strzegłem!

Pierwszy na twarz znak wystąpił drobny; Niktly nie dostrzegł — ja ojciec spostrzegłem.

On do tamtego stawał się podobny; Stawał się jak mój trup pierworodzony, Z jasnego białej, z bladego czerwony. Patrz! — Na twarz płam żelaznych krocie —

Węc zawołalem głośno: „Śmierć w namocie!”

I pochwyciwszy go z łakniami trądy, Wymosiłem na stęp, pomiędzy wielbłądy; Aby go tam śmierć zgryza doostała; I żeby na to nie patrzyła — matka.

Przy konającym czuwałem bliscy, Ja z wielbładami — na kolanach wszyscy. Łamałem ręce i wołałem głośno: „Oby nie umarł! lub się był nie rozdził!” — A tam nad palmy, z twarzą wielką, Gdy konał mój syn, bladej miśiac wschodził:

I patrzył: — tego z pamięci nie zaprzec!

I nie wiem jak ten sam miesiąc mógł patrzeć!

Gdy konał w moim ojcowiskim uścisku, Chciałem go spalić na popiół w ognisku: Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie, Wyrwałem trupa i rzuciłem strażu — Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy, I lepiej mi tam przy siostrach i bracie. Od tego zgonu i od tej boleści Naznaczono mi nowych dni czterdzięci.

Pod kregiem słońca jako krew czerwonym, I pod namiotem tym zapowietrzonym, Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie, I śmierć przed samą śmiercią udawali, Myśląc, że Boga oszukamy w niebie, Ze się ten bawian zarazy przewziął. — Powrócił! — Anioł powrócił mordercą! Ale mnie znalazł bez lez i bez serca, Już omalłego na boleści świeżo, Już mówiącego: „Niech Bóg wszystko bierze!”

Miałem na syna trzeciego cierpienia Powieki bez lez i serce z kamienia. Boleść już była jako chleb powszedni. I pod oczyma mi konał mój średni, Najmniejszy kochany w mem rodzinnem gronie I najmniejszy z dzieci płakany po zgonie. Toteż Bóg jemu wynagrodził za to, Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą, Bez żadnych bólów, bez żadnych omamień. Skonał i skostniał i stał się jak kamień. A tak okropnie po śmierci wyglądał, Jakby już próżnych naszych lez nie żądał, Ale chciał tylko lice swoje wrazić. W serca nieczule, oczy nam przerazić, I wiecznie zostać w rodziców pamięci, Z twarzą co woła: „Jesteście przekleci!” —

Skonał. Myślałem wtemczas — o! rozpaczy! —

Ze jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy, Jeśli aniola śmierci przyszło po nie, Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę. Córka! — Ja myślę nie śmiałem o córce! I trwoża o nią nie gryza mi żadna. Ach ona była młoda, taka ładna! Taka wesola, kiedy moja głowę Do liliowych brała chłodzących rączek, Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę, Około cedru biegła po trawie, Jak pracowity smując się pajęczek. Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie Ona robiła — i te smutne oczy Ona rąkami złocistych warchozy Tak prześlaniała, że patrzyłem na nią Jako na różę, przeze lzy i słońce. Ach, ona była domu mego pamią! Ona jak jasnie anieli-obronce, Najmłodsze dziecko w kołysce strzegła I gdzie placz jabi słyszała, tam biegła; I wszystkie nasze oplakala ciosy, I wszystkie nasze lzy — wzięła na włosy.

Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich, Ze śmierć już mogła na gwiazdy odlecić. Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich Przejść — nadzieja zaczynała świecić... Po dzieciach ustał wielki placz niewieści, I naliczylimy raneków trzydzięci. Nareszcie zbyszy pamięci i mocy, Położyłem się i zasnąłem w nocy. I we śnie, w lekkie owinięte chmury, Ujrzałem moje dwie umarłe córki. Przeszły, za ręce trzymając się obie, I pozdróżyły mnie pokojem w grobie, Poszły, oczyma uchemi błyszczące, Nawiedzały inne, po namocie śpiące. Szy cicho, zwolna, schylały się nisko Nad matki łożem, nad dziecką kołyską; Potem, na moją najmłodszą dziewczynę, Obiedwie ręce położyły sine!

Budzę się z krzykiem i umartą działając Klnąc, wołam dziko: „Ha! ha! moja Hafne!”

Przysła jak płaszek cicho po kobiercu, Rzuciła mi się rączkami na szyję: I przekonałem się, że Hafne żyje, Słyszac jej serce bijące na sercu. Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć — Córka!!! — Lecz naco z boleścią się szczyrzy?

I to mi dziecko sroga śmierć wydarła! I ta mi córka na rękach umarła! A była jedna najstrasniejsza chwila — Kiedy ją bole targaly zabójcze, Wolala: „Ratuj mnie! ratuj, mój ojciec!” I miała wtemczas czerwone usteczka, Jak młoda róża kiedy się rozchyła. — I tak umarła ta moja dziewczeczka, Ze mi się serce rozdarło na ćwierci — A piękna była jak anioł — po śmierci!

Przysli nade mną plakać nieborakiem Strażnicy: przysli mi wydrzeć to cialo I miosotrozi zaczęli hakiem — Hak padł na pierś jej twarda, kragła, biała...

I tu — bogdajby jak ja nie umarł! — Tu ja pod memi oczyma rozdarł. — Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz! Wziąłem ją — i sam zanosłem na cmentarz.

Z założonemi na piersiach rękoma Siedziała trzy dni matka nieruchoma, W kacie namiotu, zółta jakby z drewna. Dziecina stała się bladej i rzewna, Bo mleko matki zaczęło wysychać, I co dnia było placz w kołysce słychać. A to pustynia — niemasz dzieci w grobie! Ona inaczej wydaje się tobie, Może zlostica, jasna i weselna? Lecz dla mnie, jest to równina piekielna! Przez te równinę, przez te piasku kupy, Ciągnęło śniade moich dzieci trupy. A tam na wzgórze, kiedy morze bije, Dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje; A kiedy z wicherem na brzegi nie skacze, Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.

Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina, Śpiewającemu słyszał muezina: Jakby się nad mym ulitował losem, Zaczął smutniejszym obwotwać głosem; Krzyknęło ze swego piaskowego stoga Nieszczęśliwemu oczu — wielkość Boga. O! bądźże ty mi pochwalony, Alla! Szumem pożaru, co miała zapala, Trzęsieniem ziemi, co grody wyraca, Zaraz, która dzieci mi wytraca, I bierze syny z łona rodzicielki. O! Allah! Akbar Allah! Jesteś wielki!

Wszystko co miało tylko twarz człowieka Zaczęło stronić ode mnie zdaleka. Namiotu mego — córki go uprzędy — Płótna na rosie poczerwiała, zwiędły, I podarły się i lekko napięte Były jak próchna z ludzkich trumien zjęte.

Zaraz było znać na tym namocie — I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie, Co zlatywały się tutaj o brzasku, Jeść okruszyny i kąpać się w piasku, Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać, Po ter przestały się wszystkie zlatywać. Czy odszaryło je podarte płótno Namiotu mego? czy twarz moja biedna? Nie przyleciała z płaszyń ani jedna. I spojrzęgam to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże! —

Z wieczora huczał już zaczęło morze, I słońca się krag pochował ponury, I niebo czarne zaciągnęły chmury. Noc przyszła, dotąd w pamięci żywna, Ciemna, od gromów czoności wiarna. Jeszcze dziś — i widzę i słyszę, Słyszę, jak namiot geste sieka deszczem, Jak się rozciąga, jak głucho szleszcze. Jak się wdała mną w ciemności kołysce I od piorunów się cały czerwieni, Podobny grobom szalanskim z płomieni. Zadałom mi się za burzy koskolem, Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem, Wszystkie jejące przeraźliwe, głucho. Wice należałem wzrok, serce i ucho; I z przerażeniem rozmyślałem w sobie Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle — czemuż ta śmierć tak zdradziecko! Tak ścicha weszła pod namiotu zagłę? — Grom spadł hucząc po gromie — i nagle W kołysce cicho zapłatało dziecko — A placz ten musiał być strasnym wyrazem... Bo zaraz — matka — ja — oba — razem... Rzuciliśmy się gdzie robaczek lichę. A choć dziecięcia jek był bardzo cichy? To tak wydawał się oboju głośny, I tak rozdarły i taki złośny, I tak z głębokich wnętrzości wyjęty! I tak rozumny! i taki przeklety!!! Żesmy oboje biegli gromem tknicą, I bez nadziei już! i bez pamięci!

I nie zawiadło przeczucie żaloby! Umarło — z takiej jak tamte choroby. I poszło między trupy bratnie, Moje najmlsze!... i moje ostatnie!!! Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie. I już nie wróci! ani mi urosnie! Ani go kiedy mógł dom już zobaczy! — I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!! Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami. Byliśmy z matką w namocie — przed nami Leżało dziecko na stole, nieżywe. Nieruchomością śmierci przeraźliwe. Uczulem wtemczas, patrząc na tę postać, Ze gdyby mogło choć tak z nami zostać, Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej —

Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy. A to już — ani zarazy strażnicy, Ani ja miśsiem do Szecha kaplicy. Gdzie się nam trupia otwierała brama, Ale je matka tam zaniosła sama.

W namocie pustym ja zostałem z żoną. Ale czy pojmiesz? — zamiast nas polączyć, Boleść, oboju nam rozdarłszy łono. Zaczęła jakieś jady w serca sączyć, I teraz chyba je sam Bóg oczysci. Smutek podobny był do nienawiści I stanął czarny, wielki między nami. Wice rozlaczni byliśmy i sami. I nie mówiliśmy do siebie słowa — Bo powiedz, jakaz być mogła rozmowa W pustym namocie między mną i żoną? Pomiedzy ojciem i matką tych dzieci?... Słońce wchodziło w upaly czerwono, Co dnia tonęło tam gdzie teraz świeci, Jak jaka strawa pożaru pochodnia. — Wice tak bezdzietnym było — i tak co dnia.

Cisza ogromna namiot nasz zalegała. Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła; Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespań i troski Była jak bursztyn, albo żółte woski; Na głowie miała z włosów swych wieniec, Zgola imnego jeku ni szlesta... Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu. I kwarantanny przybyli lekarze, Głęboko patrząc w nasze smutne twarze. Wiedziałem, jak się żałuję z nich zadziwiał; Bo nachyliłem się byli i postawił. A żona moja od niespa